№ 67. Warszawa, dnia 8 (20) Sierpnia 1872 roku. Tom II. — Rok I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, Wieniec wraz z dodatkiem Encyklopedyi Powszechnéj w 8-miu tomach rocznie Rs. 9 kop. 40, kwartalnie: Rs. 2 kop. 35.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi rocznie rsr. 13, kwartalnie rsr. 3 kop. 25.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Ekspedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiém: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartalnie: flor. 3 cent. 25; wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwartalnie florenów 5 cent. 5.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, wraz z dodatkiem Encyklopedyi flor. 4 cent. 80.
W W. Ks. Poznańskiém: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart. tal. pr. 2 sgr. 22½.

O PROSZONYM CHLEBIE.

POWIEŚĆ

przez

Waleryę Marrené

(Morzkowską).

I.

Ciąg dalszy. *(Ob. Nr. 66).*

Chłodne powietrze nocy, obwiało go, ale nie zgasiło żaru płonącego mu w piersi, ani uspokoiło bijącego serca. Kilka razy obszedł domowstwo, jakby daremnie chciał się od niego oddalić, a magnes jakiś przyciągał go do tego miejsca, do okienka zkąd błyskało jasne światło ogniska i rysował się cień starej kobiety siedzącéj z załamanemi rękoma. Ten widok prześladował go jak niemy wyrzut. W usposobieniu w jakiém się znajdował, nie czuł potrzeby snu ani fizycznego zmęczenia. W tym prostym niezmąconym dotąd duchu zapanowała burza, podobna gwałtownością do tych, co nawiedzają dziewicze lasy zwrotnikowych krajów; wszystkie uczucia jego powstawały w piersi w mocy pierwotnéj, i walczyły przeciw sobie, targając drgające struny serca. Szarpał się daremnie, ciemności jego losu nie rozjaśnił promień żaden, trzeba mu było poddać się biernie okolicznościom lub własną ręką odrzucić z życia miłość, która się z niém zrosła. Na jedno i na drugie odważyć się nie mógł.

Chodził koło chaty jak zwierz raniony, w ciasnéj klatce zamknięty; tutaj także wydało mu się powietrze duszne i miejsce ścieśnione. Raz jeszcze spojrzał w okienko: przygasało, matka siedziała nieruchoma. Odwrócił się i zaczął drapać na szczyt góry panującéj nad chatą i nad wioską. Ciemność spowiła ją teraz nieprzejrzanym całunem, nie mógł nawet dopatrzyć Hanczynéj chaty, gdy nagle usłyszał koło siebie szmer jakiś. Spojrzał w około i dostrzegł wśród krzaków kształt siedzącego człowieka.

— Kto tam? zawołał powracając nagle do rzeczywistości.

Byłże to złodziéj czyhający na cudze dobro, którego odkrył przypadkiem? To przypuszczenie najprzód przyszło mu do myśli.

Ale zagadniony podniósł spokojnie głowę i odparł z wolna:

— Jestem stary kaleka.

Odpowiedź ta nie zaspokoiła wcale Stacha, który podejrzliwie zbliżył się i zapytał:

— Zkądże jesteście?

— Ze świata, chodzę i proszę chleba.

Powierzchowność jego odpowiadała zupełnie tym słowom: w pomroce nocnéj można było dostrzedz białe jak śnieg włosy i podarty płaszcz, którym otulał się przed chłodem jesiennym. Głos jego był szorstki, a jednak były w nim smutne wibracye, jakby głos ten nieraz drżał od łez i bolów, nieraz zmienił się w krzyk rozpaczy.

Starzec siedział na ziemi. Wydobywając z torby kawałek chleba i flaszkę z wódką i uczyniwszy prostą odpowiedź Stachowi, nie zwracał więcéj na niego uwagi i zabierał się spokojnie do skromnego posiłku.

— A czemuż nie idziecie do wsi? spytał parobczak. Nikt nie odmówiłby wam pewnie gościnności.

Dziad wstrząsnął głową.

— Oj gościnność, gościnność! powtórzył: stanęła mi ona nieraz kością w gardle, trzeba za nią zawsze płacić.

— Jakto zapłacić? spytał Stach nie rozumiejąc go dokładnie: niktby wam pewno za nocleg płacić nie kazał, jeszczeby was czém opatrzono na drogę.

— Jest zapłata i zapłata odparł mu na to dziad: musiałbym ludziom w zamian za gościnę, opowiedzić zkąd idę, dokąd—kto jestem—co na świecie słychać; to już ja wolę położyć się tu pod krzakiem, z głową na kamieniu. Noc nie zimna, mam jeszcze chleba kawał, to mi na dziś wystarczy, a jutro?... ha, jutro trzeba będzie iść daléj i żebrać.

Była w tych słowach jakaś smutna hardość: ten człowiek niedołężny chciał mieć także swoje chwile niepodległości i swobody.

— To chodźcie do nas, zawołał Stach tknięty litością; ja ani matka nie będziemy o nic pytali, kiedy tego nie chcecie.

Teraz dopiero starzec spojrzał na niego uważniéj, i widać powierzchowność młodego wieśniaka wzbudziła jego zaufanie bo wyrzekł łagodniéj:

— Dziękuję wam za dobre chęci i za wszystko, ale wolę tu pozostać.

— Ha, wola wasza, tylko skostniejecie w nocy od zimna i rozchorujecie się jeszcze.

— Oj! zawołał dziad, nie jedną ci ja nockę tak przespałem, Bóg ma opiekę o każdém stworzeniu, to o mnie nie zapomniał, a zresztą przyjdzie umierać dziś czy jutro. Czegoż będę żałował na świecie?

Złożył ręce z obojętnością cechującą nieszczęśliwych. Słowa te jednak nie obojętne były dla młodego chłopca, kipiącego życiem.

— Dziadku, zawołał, jak wy możecie tak mówić! świat taki piękny?

Starzec westchnął.

— Oj, wyrzekł, wydawał się on i mnie takim

kiedyś, kiedyś, jak miałem wasze lata, wasze zdrowie i siły. Ale dziś?

Był nieskończony smutek w tych słowach, smutek niezrozumiały dla Stacha. Pierwsze cierpienie nie ukazało mu jeszcze przepaści bolów których tak wiele na świecie, nie nauczyło głębiéj patrzeć na ludzi, ani pojmować tego co za zwyczaj ukrywają starannie. Z razu widok tego człowieka oderwał mu myśl od samego siebie; dopiero ostatnie słowo usłyszane zbudziło echo w jego piersi. Westchnął głęboko.

Dziad zauważył to, i zmierzył go od stóp do głowy oczyma, które widać nic niestraciły z pierwotnéj bystrości.

— Oj, wyrzekł szorstko, dolega i wam coś widać; świat piękny powiadacie, a jednak na nim ludzie narzekają nieustannie, i jeszczem takiego nie spotkał coby się radował swoją dolą.

Czyniąc tę filozoficzną uwagę, dobył z torby krótką fajeczkę, nałożył ją prostym tytuniem, skrzesał ognia, zapalił i zaczął obojętnie puszczać kłęby dymu, jak gdyby sprawy bliźnich nie obchodziły go nic a nic, a sam zerwawszy ze światem, z równą obojętnością spoglądał na cudze jak i na własne troski. Stach przecież nie odchodził, coś ciągnęło go do tego włóczęgi.

— Czy i wy, spytał po chwili starzec opryskliwie, myślicie tutaj w tarninie nocować?

— Ej nie, szepnął parobczak; tylko mi was żal, że pogardzacie ciepłym kątem.

Jakiś nieokreślony wyraz zarysował się na twarzy dziada.

— Ha, wyrzekł swoi go pozazdrościli i wygnali na żebraninę, to i przewykłem obchodzić się bez dachu nad głową. To wszystko wymysły: jak się zaśnie twardo to się zapomni o wietrze świszczącym w koło, o zimnie, deszczu, tak samo jak o zgryzotach.

— To wy macie swoich dziadku! zawołał Stach, a oni o was nie dbają?

Starzec nie zważał na to niedyskretne pytanie usta jego rozwiązały się powoli, może przeczuł, że chłopak czynił je z dobrego serca.

— Dyć powiadają, wyrzekł z goryczą, że zwierzęta leśne pamiętają w starości o rodzicach, ale ludzie... ludzie to co innego.

Umilkł jak gdyby nierad, że powiedział za wiele, spuścił głowę i wypuścił z ust ogromny kłęb dymu którym obwinął się jak obłokiem.

— A z daleka jesteście dziadku? pytał chłopiec uniesiony ciekawością.

Zagadniony obejrzał się niechętnie.

— Z daleka, powtórzył z wolna, z bardzo daleka, skoro nie zna mnie tu nikt, psy nawet poszarpałyby gdybym się pokazał, przecież wieś ta pamiętaćby mnie powinna, bo ja nie mogłem jéj zapomnieć.

Mówił to cicho, jakby sam do siebie, zapominając o Stachu; on jednak dosłyszał ostatnie słowa bo podchwycił:

— Co wy szepczecie dziadku? nie mogliście téj wsi zapomnieć?

— Ot pleciesz nie wiedzieć co chłopcze zawołał starzec rozgniewany. Że też człowiek nigdzie spokojnego miejsca znaleźć nie może!

Pomimo tych ostrych słów, chłopiec stał i przypatrywał mu się coraz uważniéj. Od chwili księżyc wyjrzał z po za obłoków, rzucając mdłe światło na małą wyniosłość, gdzie znajdowali się obadwaj, oświecając postać dziada. Był to wysoki, kościsty, wiekiem zgarbiony człowiek; na barkach zdawały mu się ciężyć trudy żywota, przecierpiane bole, poniesione straty, i cały smutny korowód lat pracowitych lub bezużytecznych, które uczyniły go tém, czém był teraz, i doprowadziły do téj samotnéj, nędznéj doli. W rysach jego wyryło się cierpienie niestartemi brózdami, znać w nich było zupełne opustoszenie świadczące, że zerwał z ludźmi, i oddawał wet za wet, wzgardę i obojętność. Na czole jego leżał martwy spokój: w czasie długiego życia widział tyle podłości, że go nic już dziwić nie mogło, a świat i ludzie przedstawili mu się zapewne w całéj ohydzie; on był tak maluczkim, tak nędznym i małoznaczącym, iż nikt nie zadawał sobie przed nim pracy udawania, miał więc sposobność dojrzeć z dołu wiele rzeczy których nie domyślają się szczęśliwi; widział podszewkę czynów ludzkich, powody ich działań, sądów i myśli.

Każdy najbiedniejszy człowiek ma swoją ambicyę, swoją dumę, kółko ludzi obchodzących go swojém zdaniem stanowiących dla niego powagę; on i to utracić musiał, wzgarda ogólna rzuciła na niego płaszcz zapomnienia: był teraz owym zwiędłym liściem nie należącym do żadnego drzewa, którym wicher życia pomiata, a depcze każda istota. Czy cierpiał nad tém? czy wyrobił w sobie filozoficzną obojętność na wszystko? Trudno było odgadnąć. Obejście jego było szorstkie słowa urywane i skąpe; jednak było coś w uśmiechu ust jego, spojrzeniu oczu, które na przekor wiekowi zachowały dziwną żywość, co świadczyło, że pod apatyczną powłoką żebraka kryć się musiało wiele uczuć i myśli, nie należących do jego rzemiosła.

Stach przypatrywał mu się coraz uważniéj: w jego pamięci budziły się dawno zatarte wspomnienia, zdawało mu się że kiedyś znał tego człowieka w innym stanie, w inném położeniu, i niedowierzał sam sobie. Wlepił w niego oczy szeroko rozwarte.

To nie podobało się dziadowi.

— Cóż mi się tak przyglądasz? zawołał odwracając się mimowolnym ruchem od światła księżyca, jak gdybyś mnie chciał pożreć? Oj twardy ze mnie kąsek, niewielebyś się pożywił.

Zaśmiał się.

— Mnie się widzi, odparł, że ja was gdzieś znam dziadku.

Starzec wzruszył ramionami.

— Nie dziwota, wyrzekł obojętnie: włóczę się po różnych drogach możeśwa się gdzie spotkali, a zresztą dziad zawsze do dziada podobny.

— Nie, nie, mówił Stach kręcąc głową: znałem ja was inaczéj.

— Inaczéj? powtórzył żebrak ściągając brwi: ja sam już nie pamiętam kiedy byłem człowiekiem.

— Co też wy mówicie dziadku! zawołał przestraszony cofając się ja przed widmem.

— Oj nie plotę, nie plotę, podchwycił, ale nie bójta się, nie jestem ani żaden strach, ani upiór, tylko widzicie lepiéj być kamieniem przy drodze, niż samemu sobie nie módz dać rady na świecie, niż być starym niedołężnym kaleką.

Głębokie znaczenie tych słów uszło Stachowi; zrozumiał tylko, że starzec był nieszczęśliwym; że może wstydził się obecnego położenia, i dlatego ukrywa swoje imię.

— Dziadku wyrzekł, gdybyście wy mieli dzieci toby o was pamiętały, samemu to szkoda bieda.

Chciał coś mówić daléj, ale spojrzawszy na starca, zatrzymał się bo na te proste słowa twarz mu pobladła oczy zamigotały jakimś smutnym i groźnym wyrazem.

— Dzieci, powtórzył spoglądając na młodego chłopca: dzieci póki to małe czepia się naszych kolan, i z wolna serce i piersi zabiera. Kiedy zaszczebiotają drobnemi usteczkami: tata. tata, to doprawdy oddałoby im się duszę gdyby chciały. Człek myśli sobie i duma z rozkoszą, jak moja głowa się pochyli, to te kruszyny wyrosną, jak moje ręce niezdolne do pracy drżeć będą od starości, to ich za to będą silne i zdrowe, jak ja teraz na nich pracuję i odejmuję sobie od ust kęs chleba, byle ich nakarmić, tak one oddadzą mi kiedyś. Kiedyś! Oj głupi kto na to rachuje!... Kiedyś—wypędzą starego ojca—na wicher — na słotę—na chleb żebraczy.

Starzec mówił urywanym głosem—znać w téj godzinie historya życia cisnęła mu się na usta.

Nastąpiło milczenie, Stachowi mimowolnie ciężko było na sercu; ten obraz opuszczenia i rozpaczy przywołał mu na myśl jego własną matkę. Czyż los jéj nie byłby taki, gdyby jego nie stało? Więc patrzał smutno na pochyloną postać dziada który odwrócił twarz umyślnie by ukryć jéj wyraz, może by ukryć łzy drgające mu na powiekach, bo słychać było tylko w ciszy wieczoru ciężki oddech jego podobny do westchnienia.

— Dziadku dziadku! zawołał Stach, bo dobre serce jego, znieść nie mogło widoku téj strasznéj boleści: nie mówcie tak, i ja mam matkę któréj nie opuściłbym nigdy.

Temi słowami zdawał się protestować przeciw doświadczeniu starca, chciał go pocieszyć, że świat i ludzie nie są tak źli jeszcze jak on sądził.

Była to smutna pociecha.

Dziad nic nie odpowiedział, tylko kiwnął głową jakby uznawał, że matka ta była od niego szczęśliwsza, ale nie mógł zdobyć się na odpowiedź.

I znowu była cisza. Stach nie wiedział jak ją przerwać; czuł że tu była wielka boleść, którą pragnął ukoić. Gdyby tylko starzec chciał pójść do ich chałupy, ciepło ich ogniska ogrzałoby serce jego i członki; nie śmiał jednak nalegać, a z niczém odejść nie mógł.

Włóczęga zrozumiał widać, co się w nim działo, bo po długiéj chwili zwrócił do niego twarz spokojną. *(d. c. n.)*

KORESPONDENCYA.

Dokończenie. (Ob. Nr. 66).

Wiedeń w sierpniu.

O teatrach tutejszych nie mogę obecnie donieść nic takiego, coby zasługiwało na większą uwagę, bo i tutaj jak wszędzie, w porze letniéj teatra nie kwitną. Publiczność tutejsza oczekuje z niecierpliwością na otwarcie teatru miejskiego, którego gmach świeżo ukończony został. Jest to bardzo piękna i miłe wrażenie sprawiająca budowa, chociaż nie tak okazała jak np. gmach opery. Teatr ten będzie zostawał pod dyrekcyą Laubego Henryka, znakomitego dramaturga i powieściopisarza, który był do r. 1867 artystycznym dyrektorem tutejszego teatru nadwornego (Burgtheater), a następnie przez lat dwa dyrektorem teatru miejskiego w Lipsku. Nowy teatr będzie oczywiście współzawodniczył z dawniejszemi, zwłaszcza z nadwornym, a będzie to zadanie dość trudne, témbardziéj, że Laube nie utworzył personelu swego ze znanych znakomitości a przynajmniéj z rutynowanych artystów, lecz po większéj części z ludzi młodych. Mają to być wprawdzie znakomite talenta ale czy talenta choćby nawet pod kierunkiem takiego dyrektora jak Laube zastąpią doświadczenie dłuższą praktyką nabyte, to jeszcze wielkie pytanie. Zapewniają, że nowy dyrektor teatru miejskiego umyślnie nie wchodził w stosunki ze starszymi artystami, poanga-

żował zaś samych młodych, lecz rokujących piękną przyszłość, dla tego, ażeby ich od początku wykształcić podług swojej metody. Pierwsze przedstawienie w nowym teatrze będzie dane 1 Września b. r., mają zaś grać *Demetryusza* Szyllera, ponieważ fragment ten wymaga wielkiéj ekspozycyi, zatém prawie cała truppa nowego teatru zaraz na pierwszém przedstawieniu będzie mogła wystąpić przed publicznością. Zresztą pierwsze to przedstawienie nie ma wcale być programem kierunku teatru na przyszłość; zapewniają bowiem, że komedya, i jak się należy spodziewać, komedya francuzka, będzie tu głównie uprawiana. W operze nadwornéj przed kilku dopiero dniami po feryach otwartéj, zbierają wawrzyny goście z zagranicy, jeżeli zarówno Węgry jak Niemcy godzi się nazwać zagranicą względnie do Austryi. W Hugonotach Meyerbeera występowała niedawno pani Pauli Markovits z Pesztu w roli Małgorzaty i panna Tellini ze Stuttgardu, pierwsza z wielkiém, druga z nieco mniejszém powodzeniem. Pani Pauli Markovits przypomina bardzo sławną pannę Murską. Główną jéj sztuka jest tryl pianissimo, z którym też ciągle się popisuje. Teatr w zamku cesarskim jest jeszcze zamknięty. Na Wiedeniu po odjeździe towarzystwa francuzkiego p. Meynadier'a zaczęły się znowu zwykłe przedstawienia, składające się z operetek Offenbacha i fars tak zwanych wiedeńskich. W Carltheater właśnie teraz rozpoczyna przedstawienie towarzystwo włoskie operą Le educande di Sorrento przez p. Usiglio z Florencyi. W teatrze zaś p. Strampfera, który z całą trupą swoją bawi od dwóch miesięcy w Berlinie, gości obecnie p. Paweł Hoffman znany z pięknych przedstawień optycznych, tłómaczących geologiczne przemiany na kuli ziemskiéj.

W handlu księgarskim ukazuje się teraz najwięcéj książek i broszur technicznych i z działu nauk przyrodniczych, atoli wszystkie są miniaturowych rozmiarów; chociaż więc mogą być pomiędzy niemi rzeczy bardzo cenne, wątpić należy, aby swoją drobiazgowością mogły jakkolwiek przyczynić się do podniesienia umiejętności w ogóle. Prawie równie wiele wychodzi książek treści wojskowéj, mających na celu polepszenie siły zbrojnéj monarchii austryacko-węgierskiéj. Wszystkie inne działy piśmiennictwa są dość ubogie. Pierwsze tomy dzieł Grillparzera znajdują się już w rękach publiczności i zawierają znane z poprzednich wydań i ze sceny dramata *Ahnfrau* i *Sappho*. Redakcyą kompletnego wydania dzieł Grillparzera zajmuje się wzmiankowany powyżéj Henryk Laube. W wydaniu tém oprócz znanych rzeczy będzie ogłoszonych kilka dramatów, o których dotąd wiedzieli tylko najbliżsi przyjaciele poety. Pomiędzy tymi pierwsze miejsce zajmuje „Bruderzwist im Hause Habsburg,” dramat historyczny najobszerniejszy z dramatów Grillparzera, nad którym też poeta najdłużéj pracował. Treścią jego jest spór pomiędzy cesarzem Rudolfem a Maciejem. Arcydziełem doskonale zaokrągloném jest inna nowość pod tytułem „Żydówka z Toleda,” do któréj myśl wziął Grillparzer z dramatu Las pazes de los Reyes przez Lopeza Vega. Król jeszcze młody, ale już żonaty i ojciec rodziny, nie zaznał jeszcze właściwego czaru miłości. Wierny obowiązkom męża, ojca i króla, unika starannie wszelkich stosunków, któreby mogły serce jego obłąkać i sprowadzić go z drogi właściwéj. Atoli stare i wspólne wielu narodom przysłowie: serce nie sługa... sprawdza się i na nim. Poznawszy przypadkiem piękną a pełną wschodniego ognia żydówkę, nie może dłużéj panować nad sobą i lgnie do niéj całą siłą młodego, gorącego po raz pierwszy kochającego serca; zapomina że jest królem, zapomina, że jest mężem i ojcem, chce porzucić wszystko, zrzec się wszystkiego, ażeby się tylko poić czarującym nektarem miłości, który Rachela umie czynić coraz słodszym, coraz ponętniejszym. Wtém królowa dowiaduje się o wszystkiém, i porozumiawszy się ze stanami kraju rozkazuje zamordować Rachelę. Czyn spełniony, a sprawcy teraz dopiero widzą na co się narazili i truchleją o siebie, bo król wre gniewem i straszną gotuje zemstę. Lecz Rachel, jak go czarowała za życia, tak i teraz chociaż już martwa nie przestaje wywierać dziwnego wpływu na jego serce. Widok jéj trupa wywołuje w nim walkę uczuć, która stanowi punkt kulminacyjny dramatu, i kończy się tém, że król zamiast się mścić postanawia powrócić na drogę obowiązku i wyrusza na Maurów, ażeby we krwi wrogów zgasić resztę płomięni.

Żydówka jest prześlicznie narysowana, atoli z umysłu w taki sposób, ażebyśmy jéj zbytecznie nie żałowali. Co się tego tycze poeta miał bez wątpienia najzupełniejszą słuszność, o ile nim powodowały względy estetyczne; atoli wzgląd na uczucia widzów zdaje się nam mniéj usprawiedliwiony. Kara śmierci bowiem na *żydówkę* która ośmieliła się podnieść oko na średniowiecznego króla hiszpańskiego, będącego nadto mężem i ojcem nie jest wcale za nadto srogą, skoro w innych krajach, dziś jeszcze, kara zniewagi spotyka żyda, jeśli się ośmieli wejść do publicznego lokalu.. Są więc kraje, w których mniejsze *przestępstwa* żydów karzą z jeszcze większą srogością, a w ojczyźnie Grillparzera do niedawna to samo się działo.

POSŁANIE

ZE SZWAJCARYI SEW. z Ż. PRUSZAKOWÉJ

Obraz wspaniały—góry i skały
Przed sobą mam;—
Lecz obraz w myśli inny się kréśli,
Jam duszą—tam!
Wśród obcych ludzi, serca nie zbudzi
Przyrody cud,
Obce tu zdroje, góry nie moje,
Nie mój tu lud!
Nad Alp szczyt biały—nad lodozwały
Świat milszy znam;
Ach dla mnie jeden na ziemi Eden,
Jam duszą tam!

Dnia 7-go b. m. w Warszawie obchodzona była rzadka bardzo uroczystość jubileuszowa, bo „sześćdziesięcio-letniéj służby oficerskiéj JW. Głównodowodzącego wojskami Warszawskiego okręgu wojennego, Namiestnika w Królestwie Polskiém, Generał-Feldmarszałka Hrabiego Teodora Teodorowicza Berga.

Z tego powodu o godzinie 10-téj z rana JW. hrabia przyjmować raczył w salach b. zamku królewskiego powinszowania od duchowieństwa wszelkich wyznań, urzędników Dworu Najwyższego, urzędników zarządu cywilnego wszelkich klass, obywateli wiejskich i miejskich, i konsulów zagranicznych, w obec których doręczony został JW. Jubilatowi złoty medal, odbity na pamiątkę téj uroczystości i ofiarowany przez obywateli miasta.

Z kolei JW. Hrabia przyjął w dziedzińcu zamkowym przedstawicieli i wychowańców Instytucyj dobroczynnych, a po skończeniu tych ceremonij, raczył udać się pieszo przez ulicę Senatorską i Miodową do Soboru prawosławnego, dla znajdowania się na odbytém tamże nabożeństwie.

W czasie pochodu JW. Hrabiego, wszystkie okna i balkony tych ulic przybrane były dywanami, a na wielu domach powiewały kolorowe sztandary; wojska zaś po jednéj, a cechy rzemieślnicze po drugiéj stronie od zamku do Soboru katedralnego, tworzyły szpaler, po za którym mieściły się tłumy publiczności.

Po nabożeństwie odbyta została na placu Krasińskich parada wojskowa, a o godzinie 6-téj wieczorem dany był w salach ratuszowych wystawny obiad, który zaszczycony został obecnością JW. Jubilata.

Przy końcu obiadu podczas pierwszych wzniesionych toastów, na dane sygnały z wieży ratusza ozwały się strzały z wałów cytadeli Aleksandrowskiéj, a zebrana na placu ratuszowym publiczność, objawiła życzenia swoje JW. Jubilatowi przy dźwięku orkiestry, jednocześnie też plac pomieniony zajaśniał illuminacyą.

Podobnież zajaśniał także jedną z piękniejszych illuminacyj i ogród Saski, a gdy po skończonym obiedzie, tak JW. Hrabia Feldmarszałek, jako też i uczestniczące w obiedzie osoby, udali się do tegoż ogrodu, JW. Jubilat powitany tamże został przez połączone orkiestry wojskowe z 900 osób złożone, które zajęły miejsce od wodotrysku aż do wzniesionego w ogrodzie portyku.

Portyk ten umieszczony był na samym początku środkowéj alei; na samym wierzchu jego jaśniała cyfra Najjaśniejszego Pana, pod nią herb JW. Hrabiegó, a poniżéj w zagłębieniu przedstawiającém tło czarne, umieszczone było marmurowe popiersie Jubilata, pod którém na odpowiedniéj armaturze jaśniała liczba rzymska LX, jako godło uroczystości, czyli sześćdziesięcio-letniéj służby oficerskiéj JW. Hrabiego.

Do dwudziestu tysięcy publiczności zebrało się w ogrodzie, oczekując przybycia JW. Jubilata, takaż ilość prawie znajdowała się i na ulicach miasta, towarzysząc JW. Hrabiemu przy przejściu Jego z ratusza do ogrodu i wszędzie witając go okrzykami.

Z kolei JW. Hrabia udał się do teatru letniego w tymże ogrodzie, gdzie na uczczenie jubilata dane było, odpowiednie przedstawienie, zakończone obrazem allegorycznym z żywych osób, to jest artystów i artystek teatru w różnorodnych kostyumach, otaczających umieszczony na wzniesieniu biust JW. Hrabiego, a u stóp którego ugruppowane dzieci sypały kwiaty.

Przy ponownem powtórzeniu obrazu, jedna z dziewczynek w postaci anioła ukazała się w powietrzu i uwieńczyła biust Jubilata.

Do późnéj pory przeciągała publiczność tak po ogrodzie jaśniejącym illuminacyą i słońcem elektrycznem, jako też i po ulicach miasta, w którém spełnił się ów obchód sześćdziesięcio letniéj służby oficerskiéj Feldmarszałka i Namiestnika JW. Hrabiego Berga. (*Kur. Codz.*)

KRONIKA.

Znów tedy spotykamy się kochany czytelniku!... Dzień 12 sierpnia przerwał swoje dzieje na zwykłą ilość nocnych godzin, wypisując gwiazdami na niebieskich przestworach *dalszy ciąg*, zamiast *dokończenie nastąpi*? Jakim sposobem prorok końca świata, Plantamour mógł się tak grubo omylić! Nie czytał chyba Kuryera Codziennego, który przecie z całą powagą naukową, popartą i wyjaśnioną stosownemi rysunkami, dowiódł nam wszystkim, że możemy spać spokojnie! I wierzajcie mi czytelnicy, że trzeba było, tylko takiego autorytetu, ażeby mnie odciągnąć od jedynego koszyka ocalenia, grzecznie amatorom przez p. Bunelle ofiarowywanego! Dzisiaj doprawdy nie żałuję że pozostałem na ziemi—najprzód dla tego że wypełniłem obowiązek: gdyż kronikarzowi dostaje się w udziale obserwacya życia codziennego ze wszystkiemi jego czysto ludzkiemi drobiazgami, które mu zbytecznie nad poziom wzlatywać i unosić się w obłokach nie pozwalają, a powtóre, że to co widziałem na ziemi—godne jest doprawdy wciągnięcia do kroniki.

Zapisaném już było w księgach przeznaczenia, że Julian Favre zrobi *fiasco* nawet w Warszawie—fatalność ścigała tak męża stanu jak również i żeglarza napowietrznego, przybrawszy na siebie postać Niemca, a raczéj Niemców, bo powodem wielkiéj mistyfikacyi balonowéj w dniu 11 sierpnia było jakoby tutejsze towarzystwo gazowe, a zatém *osoba moralna* niemiecka (przepraszam za mimowolny kalembur). Ile w tém prawdy, nie myślę bynajmniéj dochodzić. Sprawa przybrała już poniekąd rozmiary międzynarodowéj kwestyi,—a „Wieniec" jak wam wiadomo czytelnicy, polityką się nie zajmuje. Niemniéj jednak mistyfikacya owa ma pewne strony prawne, które wartoby rozświecić. Faktem jest niezaprzeczonym, że publiczność która zakupiła bilety na przedstawienie „aerostatyczne"—doznawszy zawodu, ma prawo windykować sobie straty poniesione w brzęczącéj gotówce, i w téj drugiéj monecie, którą Anglicy czasem nazywają. Pytanie więc kto tu ma płacić. Niemcy dla których kontrybucye stały się po ostatniéj wojnie jedynie racyonalnym systematem finansowym, dowodzą, że ciężar ten powinien ponieść Francuz; - kapitan żeglugi obłocznéj, odsyła z pretensyami do germańskich krzewicieli światła (gazowego), tém więcéj, że jako wzięty w entrepryzę i z góry wynagrodzony za swą pracę,—oburza się tylko na benefis honoru narodowego Francyi. Nareszcie entreprener zebrawszy w kassie pieniądze za bilety, filozoficznie rozkłada winę między Niemcy i Francyę, i z zupełną ufnością w przysłowiową pobłażliwość publiczności warszawskiéj, spodziewa się że równowaga europejska nie zostanie naruszoną.



Portret Karola I. Króla Angielskiego.

Kopia z obrazu Van Dycka.

Radbym bardzo ażeby zawiłą tę kwestyę prawną mógł mi rozstrzygnąć ów adwokat, z którym spotkałem się już o zmroku, w téj stanowczéj chwili, kiedy wytrwali widzowie probowali laskami sprężystości rury kauczukowéj, służącéj za kanał do wprowadzenia we wnętrze balonu—nieobecnego gazu.

Rura przedstawiała usposobienie *zupełnie miękkie* (mówiąc stylem Gazety Handlowéj), kommunikujące się coraz bardziéj i całéj publiczności, w któréj natężenie ciekawości i zajęcia wolniało z każdą nową zapalającą się gwiazdą na pogodnym firmamencie. Przekonany, że Juliusz Favre nie pokaże się na wysokości swego zadania, chodziłem uroczyście znudzony, z bólem głowy, którego mię nabawiła woń dostarczonego już gazu, kiedy nagle ktoś trącił mię po ramieniu i jednocześnie usłyszałem głos znajomy.

— Czemuż chodzisz tak zasępiony..... masz przecie wyborny materyał do kroniki.

— Daj mi pokój z kroniką odrzekłem niecierpliwie—te wyziewy niemieckie oddychać mi nie dadzą.

— Dla mnie rzekł adwokat wciągając chciwie przesycone gazem powietrze, to woń milsza od fiołków... czuję w atmosferze proces.

— No, a któż ma słuszność według twego zdania! spytałem, sądząc że głęboki jakiś wywód prawny rozjaśni moją wątpliwość.

— To zależy od tego, która strona do mnie się zgłosi, odpowiedział z powagą kapłan Temidy.

Dalszą naszą rozmowę przerwał ruch niezwykły między publicznością, któréj właśnie oznajmiono, że Juliusz Favre będzie się jeszcze przez całą noc wydymał, zanim zawiśnie nad Warszawą. Widzowie zatém wezwani byli do stawienia się nazajutrz z rana.

— Za jakiemi biletami? wołano w tłumie.



Puszczanie balonu z pałacu Kazimirowskich w dniu 12 sierpnia. Rysował z natury X. Pillaty.

— Bez biletów — niech to będzie karą odpowiedział głos obwieszczającego.

— Karą, dla kogo?.... miałem chęć zapytać.... Czy dla aeronauty, którego mniejszy lub większy dochód nic a nic nie obchodził... czy dla przedsiębiercy, który zainkasowawszy niezłą summę, gotów był nazajutrz całą Warszawę puścić na widowisko, czy dla Towarzystwa Nasauskiego, które co dzień przecież mistyfikuje Warszawę swojemi latarniami gazowemi.

Powtarzam że chciałem postawić to zapytanie... ale rozbroiła mię publiczność z pewną filozoficzną wesołością rozpraszająca się w różne strony miasta.

* * *

Dla tego kto do głębi nie zna publiczności warszawskiéj, dzień 11 sierpnia był niezawodnie nierozwikłaną zagadką psychiczną. Zdawałoby się że prawa rządzące usposobieniami mas, nie panują nad temi pstremi tłumami, które dały w zaprzeszłą niedzielę tyle dowodów pobłażliwości, wyrozumienia i taktu, słowem wszystkich tych przymiotów, mogących szczególniéj zaimponować Francuzowi nawykłemu do innych objawów zbiorowéj niecierpliwości. Nie ujmując bynajmniéj nic postawie publiczności, któréj znalezienie się w obec kolizyi francuzko-niemieckiéj było istotnie bez zarzutu, i nie starając się dochodzić jaką rolę odgrywała w téj postawie widzów w Kazimirowskim pałacu,—antypatya dla „Kulturträgerów,” chciałbym porozumieć się z tobą czytelniku co do natury téj pobłażliwości. Nie zawsze ona bywa przymiotem, a bardzo często staje się szkodliwą wadą. Pobłażliwość wypływająca ze świadomości wszystkich pobudek ludzkich czynów, z dokładnéj znajomości wszelkich słabości natury ludzkiéj, pobłażliwość nosząca raczéj miano wyrozumienia,—bo opiera się na podstawie rozumowéj, nie jest udziałem Warszawy. Wesoły nasz gród ma raczéj tę ślimaczą pobłażliwość, wynik miękkiego serca, którą lada podmuch zewnętrzny jest w stanie rozżarzyć do ognistych zachwytów, lub zmrozić do lodowatéj obojętności. Warszawa jest pobłażliwą tak jak jest filantropijną — przez temperament, przez ustrój systematu nerwowego — pobłażliwość jest u niéj wynikiem czy też formą lekkiéj bezmyślnéj dobroduszności, bez udziału odrobiny krytycznego sądu, stanem zupełnéj bierności, z którego sztucznie wyprowadzona wpada w krańcowe niesprawiedliwości: przesadzonych uwielbień lub niczém nieumotywowanych zapomnień. Ażebyś łaskawa czytelniczko nie posądzała mię o zbytnią surowość dla grodu któremu słusznie należy się miano powabnéj „Syreny” biorę przykład pierwszy lepszy z tysiąca.

Jesteś przypuszczam niepospolitą artystką. Natura nieposkąpiła ci darów swoich: masz piękność, wdzięk, talent rzeczywisty i trochę tego szczęścia, które pomaga do utorowania sobie drogi pośród ciężkich szkopułów życiowych. Z całym tym zasobem pomyślnych warunków przybywasz do naszego miasta. Poprzedził cię rozgłos przygotowany przez wielbicieli twego talentu—portrety wyobrażające twoją postać w różnych rolach, pozach i strojach krążą z rąk do rąk... Warszawa zadowolona z tego że nie potrzebuje myśleć i otrząsać się ze swéj eleganckiéj „indolence” — ma już gotowe formułki zapału z łatwością urobione z miękkiego i podatnego materyału pobłażania... Zanim stanęłaś przed tą publicznością, — masz już sławę ustaloną. Nie dziwi cię to, piękna czytelniczko, ani mnie również,—bośmy się na to zgodzili że masz talent rzeczywisty. Entuzyazm więc i owacye nie mają granic. Na kilka dni przed reprezentacyą, bilety już rozprzedane—publiczność na przedstawieniu wstrzymuje oddech, żeby nie stracić ani jednego wyrazu twego,—nie odejmuje od oczów lornetki żeby jéj nie zginął gest twój najmniejszy—tonie w twojém spojrzeniu, zamiera z zachwytu na widok twoich poz klasycznych. Po za obrębem teatru, męzka połowa publiczności, składa ci hołdy pełne uszanowania, żeńska zaś naśladuje twoje tualety, twoje kuafiury, twój chód, twoje maniery... Wszystko to trwa:

„ce que durent les roses”

jak mówi poeta. Pewnego wieczoru w najpatetyczniejszéj scenie twéj roli, czujesz prąd dziwnie chłodny wiejący ci prosto w serce od strony publiczności. Przyzwyczajona do chwytania uchem najsubtelniejszych odcieni oklasku,—dostrzegasz w dzisiejszym ślad nałogu raczéj, aniżeli elektrycznego wstrząśnienia.... z każdém przedstawieniem przekonywasz się coraz silniéj, że między tobą a publicznością rwą się sztucznie ponapinane złote nici ekstazy. Niedość na tém, krytyka dotychczas sługa doraźnych wrażeń, zaczyna tu i owdzie to i owo przebąkiwać. Ten ujemne strony twego talentu wkłada jako winę autorowi,—tamten tłómaczy cię słabą kompleksyą fizyczną: gwiazda twego powodzenia wstępuje w fatalny znak *pobłażania*, z którego wyjdzie już chyba po to tylko, by zagasnąć w mglistych sferach obojętności.

Ty szanowna czytelniczko,—zawsze przypuszczając że jesteś ową artystką, użalasz się na surowość publiczności; — kiedy powinnabyś raczéj złorzeczyć jéj pobłażliwości. W tém wszystkiém co się stało, jéj lazaronizm myślowy główną odgrywa rolę. Talent twój miał wiele stron świetnych,—ale miał też i ciemne,—bo doskonałość w świecie nie istnieje,—publiczność zaś, zamiast rozumnie oddzielać swiatło od cieni, wolała połykać gotowe makarony admiracyi.... aż do niestrawności. Zwyczajem tych którzy przestali kochać, zaczęła uczuwać tajoną niechęć do przedmiotów dawnéj miłości, a niesprawiedliwość stała się pierwszym skutkiem téj niechęci. Talent twój spadł w jéj pojęciu niżéj od rzeczywistéj wartości, o całą wagę jéj własnéj winy. Drobne niedokładności stały się wielkiemi błędami, pewne właściwości, manierą i t. d. A co najgorsza że w tych ostatnich oskarżeniach jest nieco prawdy. Tak jest, talent twój zesłabnie, i to jest właśnie ową szkodliwą stroną pobłażliwości, o któréj wyżéj wspomniałem. Twórczość i samodzielność twoja usną znarkatyzowane kadzidłem pochlebstw i pobłażania: wdzięk jaki roztaczała twoja osoba wezmiesz za przymiot artystki i wprowadzisz do sztuki pierwiastek obcy jéj zupełnie *wabność*, która siły ani wyższego polotu nie zastąpi; staniesz się *wdzięczną* zamiast być potężną... wszystko dzięki téj dobrodusznéj pobłażliwości Warszawian,... którzy dziś pobłażają tobie, jutro panu Bunellowi i jego balonowi.

* * *

Nazwisko aeronauty przypomina nam, że to o balonie mieliśmy mówić — balon jest teraz na porządku dziennym, a kronikarz któryby tego porządku dziennego nie pilnował, — na próżnoby liczył na pobłażliwość swych czytelników. Mamże jednak wkraczać w atrybucye podróżnika, który podaje wam czytelnicy jednocześnie opis wrażeń osobiście w śród obłoków doznanych? Zadaniem kronikarza nie jest powtarzanie faktów, które wcześniéj do was różnemi dochodzą drogami; kreśli on raczéj filozofię dziejów bruku warszawskiego, a byle tylko miał zawsze na oku społeczność, którą obserwować winien, byle z okazyi tego lub owego faktu kreślił jéj charakterystyczne cechy, — wolno mu, wszak prawda czytelnicy, zboczyć pozornie od głównego tematu, tém więcéj że w tym razie atmosfera balonowa oddziałała na niego w sposób istnie *porywający*? Zostawiając więc specyaliście sfery nadziemskie, temperaturę, wilgoć i ciężkość powietrza na 7,000 stop nad naszym padołem płaczu, i zanotowawszy tu na ziemi pewne dane z termometru usposobienia Warszawian, powracam o tyle do wycieczki balonowéj, że polecam waszéj uwadze spostrzeżenia uczynione w tych słowach w Kuryerze Warszawskim przez jednego z podróżnych: „Wkrótce przybyło na miejsce paręset włościan. Opowiadali oni że ujrzeli balon właśnie tylko co po powrocie z kościoła *gdzie zakupili mszę na intencyę szczęśliwego przebycia onegdajszego dnia jako 12 sierpnia, na który zapowiedzianém było spotkanie ziemi z kometą*. Mojém wołaniem przez tubę jeszczem bardziéj przestraszył tych prostaczków; wzięli mię za Archanioła głoszącego koniec świata. Przestrach i rozpacz we wsiach sąsiednich osadzie Feliksów, w któréj ostatecznie się zatrzymaliśmy był nie do opisania. Lud biegł do krzyżów i stacyj i tam z płaczem się modlił. Kobiety mdlały i jęcząc biegały.”

Czytając to, każdy postawić sobie musi pytanie: Co zrobiono dla wydobycia z ciemnoty ludu, od 13 czerwca 1856 roku to jest przez lat 16 od chwili w któréj także spodziewano się końca świata? Podkreślone wyrazy daje na to smutną odpowiedź. Z nich się dowiadujemy że duchowieństwo miejscowe zamiast wpływać z ambon na prostowanie przesądnych pojęć, dozwoliło na zakupywanie nabożeństw, i na odprawianie modłów których zabobonna trwoga była jedyną pobudką. Wielka zaiste odpowiedzialność zacięży na tych najbliższych nauczycielach prostaczków!

* * *

Ta spora przestrzeń czasu między dwoma końcami świata nie pozostała bez wpływu na Warszawę. Przepowiednia pana Plantamoura wywołała dziś już tylko uśmiechy politowania i bynajmniéj nie dwuznaczne wzruszenia ramionami, które porównane z paniką przedszesnastoletnią dają w rezultacie rzetelny krok postępu. W historyi kronikarstwa, koniec świata nasuwa na mysl oryginalne zbliżenia. W Kronice wiadomości krajowych i zagranicznych z 1856 r. spotykamy po 13-m czerwca opis téj spodziewanéj katastrofy pióra pana Wacława Szymanowskiego. Byłto jeden z najdowcipniejszych felietonów, jaki nam się czytać zdarzyło. W szesnaście lat późniéj kronikarz Tygodnika Illustrowanego, nie czekając drugiego końca świata, usuwa się od pracy kronikarskiéj, i w kilku słowach do publiczności powiada po prostu że siły jego stargane pracą, nie podołają już dzisiejszym wymaganiom czytającéj publiczności. Zdawałoby się że bez względu na zdanie jakie kto mógł mieć o wartości kronik w Tygodniku, ustąpienie kronikarza który jak widać z pożegnania z publicznością, dalekim był od przypisywania doskonałości swym pogawędkom,—powinno było wszelkie w téj mierze spory zakończyć. Tak jednak nie myślał Przegląd Tygodniowy, który uważał za stosowne pożegnać kronikarza za pomocą sztuczki zwanéj przez Gawroszów całego świata „kaczką.” Dla dokonania tego arcydzieła zręczności, bierze się kamyk (najlepiéj płaski) staje się nad wodą i celując z jednego brzegu do przedmiotu znajdującego się na drugim, ciska się owym kamykiem po powierzchni wody tak, aby razy kilka podskoczył na wodzie za nim w cel uderzy. Kamyk (płaski) wymierzony we współpracownika Kuryera Warszaw., odbił się w jednych i tych samych „Echach” na Tygodniku Illustrowanym i na Bluszczu... Najkomiczniejszym wydał mi

się autor „Ech", kiedy spisywał inwentarz majątku umysłowego jakim natura uposażyła kronikarza Tygodnika Illustrowanego... Podobny był wtedy do owych indywiduów stojących przed wystawami kantorów bankierskich, i przypatrujących się z rękami w pustych kieszeniach gotówce nagromadzonéj za szybą.

* * *

To pożegnanie w „Echach" miało też swoją stronę rozczulającą—chcę mówić o solidarności jaką w téj kwestyi okazały z Przeglądem „Kolce." I tam też przemówiono głosem przypominającym ton mowy istot które „Kolcami" się żywią, a ta harmonia dwóch antagonistów we wspólnym instynkciku, przypomina mi czterowiersz Heinego.

„Selten hast Du mich verstanden
„Selten auch verstand ich Dich.

. . . .

Resztę niechaj sobie szanowna wspólka w duszy dośpiewa.

„Kolce?"—zapytacie—cóż to jest takiego?

Na to doprawdy nie potrafię dać wam dokładnéj odpowiedzi. Słyszałem o nich to i owo. Mówią np. że to jest takie pismo w którém każdy nieprenumerujący spodziewa się prędzéj czy późniéj ujrzeć swoją karykaturę. Ale ja niechcę temu wierzyć, bo redakcya musiałaby skarykaturować całą Warszawę, co nawet przy „siłach artystycznych" jakiemi, według Kuryera Codziennego, ma rozporządzać, byłoby jéj cokolwiek przytrudnem. Nie równie prawdopodobniejszém będzie określenie, do którego dojdziemy przez porównanie przy pomocy litografowanego świstka nadesłanego w tych czasach jednemu z moich znajomych.

Czy zdarzało ci się kiedy czytelniku, pod czas najpilniejszéj pracy być zaniepokojonym przez jakieś indywiduum, które zadzwoniwszy bez ceremonii do twoich drzwi, wsuwa ci gwałtem w rękę zasmolony dokument opatrzony różnemi pieczęciami. Wiesz już o co idzie i aby się prędzéj załatwić ofiarujesz parę groszy nie czytając dokumentu.

Przyjaciel mój był w tych dniach w podobném położeniu. Ktoś nie znajomy wręczył mu żółty kawałek papieru z którego się dowiedział że istnieją „Kolce", że zamieniły się na pismo tygodniowe, i że ponosząc z *takiéj zmiany* (klejnot polszczyzny!) znaczne koszta wydawnicze, „liczą na poparcie ludzi światłych i dobrze myślących" którzy zapewne „raczą powiększyć grono prenumeratorów." Sens moralny zawiera się w prośbie o jak najrychlejsze nadesłanie do redakcyi odpowiedniéj kwoty prenumeracyjnéj. Znajomy mój w jednym punkcie tylko zastosował się do odezwy redakcyi, to jest zwrócił posłańcowi redakcyjnemu numer „Kolców" poprzedniego dnia wrzucony do skrzynki listowéj.

— Jakto, zapytałem, nie zaprenumerujesz?

— Ani myślę odrzekł obojętnie.

— Narażasz się na posądzenie że nie jesteś ani światłym ani dobrze myślącym człowiekiem.

— Cóż robić! nie ja pierwszy i zapewne nie ostatni.

— Ależ mój drogi można przecięż prenumerować i nie czytać.

— W takim razie jakiż cel prenumerowania?

— Należy pamiętać że każdy żyć musi!... Nie widzę w tobie ani odrobiny litości nad nędzą ludzką.

I z głębokiém westchnieniem pożegnałem przyjaciela.

Nie dziw się czytelniku téj rozmowie, ani temu mojemu westchnieniu... jako nie odrodny syn Warszawy,- jestem także bardzo pobłażliwym.

* * *

Wyczerpmy już ten temat pobłażliwości kiedy prawo assosсyacyi mysli znów go nam przypomina. Gotowiśmy nawet to dobrotliwe usposobienie Warszawian podnieść do potęgi wspaniałomyślności, jeśli weźmiemy na uwagę co straciły osoby które ufając afiszom, i licząc na słowność Juliusza Favra, zaopatrzyły się w bilety do teatrów ogródkowych... Bo w tych arenach, na których ścierają się z sobą podrabiane namiętności, wszystko idzie po dawnemu... Stare porównanie życia do teatru, sprawdza się tu poraz niewiem który. W życiu, fałszywe teatralne namiętności wplatują się do prawdziwych dramatów—na scenie prawdziwe dramata, wywołują czasem takie uczucia przy których bledną wszelkie artystyczne wrażenia. Jednym z takich przejmujących epizodów był zgon artystki dramatycznéj, pani Baranowskiéj, należącéj do towarzystwa pana Trapszy. Ślepy wypadek który zbliża płomyk gazowy do kawałka muszlinu, ludzka istota ginąca w płomieniach,—wszak to nic tak niezwykłego—a jednak wrażenie było straszne!... i nikt bez przejmującego uczucia nie pomyślał o tém krótkiem życiu młodéj kobiety które uleciało z dymem wśród niedokończonego uśmiechu wesołości obstalowanéj ku rozrywce publiczności. A czyż to aż pożaru potrzeba ażeby dym tylko, rozpraszający się w mgłach zapomnienia pozostał jedynym śladem działalności artysty dramatycznego?

Pogrzeb zmarłéj artystki, zgromadził mimo niepogody i niedogodnéj godziny dość znaczny tłum tutejszéj ludności pośród któréj można było widzieć artystów niemieckich z Alkazaru odprowadzających zwłoki swéj koleżanki, do miejsca wiecznego spoczynku.

Takto czytelniku, śmierć jest instytucyą międzynarodową!... Bywa nią czasem widocznie i sztuka—wnoszę to z dziwnego objawu że Niemcy nie zakrztusili się przyznając Królikowskiemu wielki talent. Kto wie zresztą czy jasnowłosi synowie Germanii nie liczą tu trochę na urok nowego imperium i czy nie wyczytamy o Królikowskim czegoś podobnego do wiadomości jaką niezbyt dawno „Börsen-zeitung" umieściła o pani Modrzejewskiéj. Oto co pisze owa gazeta w numerze 354:

„Pani Modrzejewska najznakomitsza aktorka polska obecnie zaangażowana do cesarskiego teatru w Warszawie, zamierza poświęcić się scenie niemieckiéj, i w tym celu uczy się języka niemieckiego."

Nie przywiązując żadnéj wagi do téj nieloicznéj pogłoski, pewien jestem że gdyby się sprawdziła, za lat dziesięć czytalibyśmy znowu w biografii pani Modrzejowskiéj sprostowanie ukute na wzór poprawki zamieszczonéj w życiorysie Dawisona w „Deutsche Warte" według któréj Dawison nie uczył się po niemiecku, ale pierwsze wyrazy *papa* i *mama* wymówił czystym drezdeńskim akcentem

* * *

Suum cuique jednakże czytelnicy,... przyznajmy że tutejsza trupa niemiecka pod kierunkiem pani Lukatsy zostająca, zasługuje na wzmiankę. W ogólności nie wiele, albo też nic wcale nie wspomniamy o *scenie zagranicznéj* która w Niemcach i Włochach ma u nas swoich przedstawicieli. Dwa te narody w sztuce równie jak w polityce musiały z sobą wyraźne przymierze zawrzeć przeciwko Francyi, która od lat paru znikła już z naszego horyzontu scenicznego. Zobaczmy więc czy w sztuce równie jak w polityce godzi się do nich zastosować przysłowie: „niezasłużeni ale szczęśliwi." W Alkazarze uderza przedewszystkiem widza charakterystyczna cecha każdéj niemieckiéj instytucyi—karność. Za pierwszemi słowami wymówionemi przez artystów, za pierwszém poruszeniem się ich na scenie, spostrzegamy zdolności organizacyjne reżysera, ład i porządek na scenie—a między artystami poddanie się téj dyscyplinie zakulisowéj w celu wytworzenia zaokrąglonéj harmonijnéj całości. Dwa szczególniéj nader ważne przymioty: doskonałe wyuczenie się roli na pamięć i troskliwe pilnowanie się scenaryusza sprawiają, że nigdy niewczesna pauza w dykcyi lub opóźnione wejście jakiejś działającéj osoby nie psują ogólnego efektu. Ztąd równość i swoboda w grze artystów, którzy potrzebują już tylko myśleć o stronie rozumowéj swoich ról. Ta równość jednakże, nieoceniona jeśli jest tłem dla wybitnych talentów, przechodzi w jednostajność, gdy stanowi jednocześnie poziom zdolności wszystkich grających artystów. Tak właśnie jest w Alkazarze, a jakkolwiek poziomem tym jest intelligencya,—nie pozwala ona przecież nigdy zapominać o braku siły twórczéj bez któréj nie ma trwałego artystycznego wrażenia. Repertuar Alkazaru zasilają przeważnie dwaj pisarze: Benediks tworzący po większéj części komedye charakterowe (Die Zärtlichen Verwandten) i Juliusz Rosen którego sytuacyjne sztuki z szufladkami (Ein Schlechter Mensch) zalecają się częstokroć szczerym komizmem. P. Lucatsy nie zaniedbuje jednak fars i operetek a nawet zrobiła niedawno ustępstwo panującéj jezuitofobii, dawszy lichą jakąś pseudo-historyczną komedyę „Kein Jezuiten mehr."

Pan Caroselli ze swoją włoską operą w teatrze Rappo, jest doprawdy godnym naśladowania przykładem *self-helpu*. Świadczy o tém najprzód wytrwałość z jaką przy ograniczonych środkach, mimo uciążliwego haraczu opłacanego Dyrekcyi naszych teatrów (która tą drogą tylko zyskuje jakiś dochód z włoskiéj opery) utrzymuje jednak, na swoim repertuarze opery pierwszorzędnych kompozytorów i doprawdy jeśli porównamy odważną gromadkę z Teatru Rappo, z kosztownemi truppami których mieliśmy niejednokrotnie słuchać w Teatrze wielkim, porównanie na korzyść ostatnich nie wypadnie. Wszyscy artyści należący do towarzystwa p. Carosellego mają głosy; a niektórzy jak p. Croti i pani Gagiotti umieją śpiewać. Aktorów w teatrze Rappo nie mamy prawa szukać—bo talenta dramatyczne pośród śpiewaków włoskich należą zawsze do wyjątkowych zjawisk. Panu Carosellemu brak i chórów żeńskich, brak i porządnie skompletowanéj orkiestry,—ale nie dziwię się bynajmniéj że się tém nie zraża, kiedy według opowiadania jednego z moich znajomych w Rydze czy w Rewlu przedstawiał swoje opery z akompaniamentem fortepianu! Publiczność jednakże nie bardzo ocenia te heroiczne wysiłki zapominając o słowach Napoleona I.

„Honneur au courage malheureux."

* * *

Jaskółcze istnienie scen letnich ma się już ku schyłkowi. Przybycie swoje zaznaczyły one zacnym uczynkiem przyczyniając się do materyalnéj pomocy rodzinie po ś. p. Moniuszce, żegnając nas, zapewne zostawią równie piękną pamiątkę składając swą pracę na skromny nagrobek dla zmarłéj artystki Baranowskiéj. Eldorado rozpoczęło już te ostatnią koleżeńską przysługę—inne teatra pójdą bez wątpienia za jego przykładem.

Kiedy już wspominamy o pamiątkach pośmiertnych, nie od rzeczy będzie zawiadomić czytelników naszych, że „Wieniec" zamieści wkrótce reprodukcyą jednego z projektów do pomnika

dla Moniuszki, którego autorem jest pan Cyprjan Godebski rzeźbiarz, pragnący koniecznie zostawić rodakom dzieło swego dłuta. Artysta ofiaruje bezinteresownie pracę swoją i czas i wymaga od nas tylko bardzo słusznego udziału w tém uczczeniu pamięci pieśniarza narodowego t. j. zakupienia marmuru i w ogóle poniesienia ubocznych kosztów które wynieść mogą do 3000 rubli. Summa ta zebrać się może tylko drogą składek. Wielbiciele talentu Moniuszki nie zechcą zapewne dopuścić, aby p. Godebski dopełnił niedobór z własnéj kieszeni, do czego się zobowiązał.

Mówimy o projektach pomników, nagrobków— smutna to gawęda, bo przedmiotém jéj, zasługi mniejsze lub większe, którym śmierć tamę już położyła. Nie wychodząc ze sfery pożytecznéj pracy i uznania jéj za życia zasłużonych pracowników, zakończmy kronikę dzisiejszą wzmianką o pięćdziesięcio-letnim jubileuszu huty szklannéj w Trąbkach, będącéj własnością spadkobierców Ignacego Hordliczko,—pp. Wilhelma i Edwarda Hordliczków. Wiele osób zwiedzało i zwiedza dotąd zakłady w Trąbkach, zaspakajają ciekawość przypatrzeniem się zajmującym zresztą szczegółom fabrykacyi szkła, ale mało kto ocenia jak należy tę cichą moralną pracę właścicieli około dobrobytu i umoralnienia robotników, ujawniającą się w całym szeregu takich zbawiennych instytucyj, jak: szkółki elementarne, kasy pożyczkowe, szpitalne, emerytalne, pogrzebowe, biblioteka, kasyno dla rzemieślników i t. p. A jednak ta właśnie praca więcéj może jak ulepszenia techniczne, przyczynia się do takiego kwitnięcia fabryki i do wytworzenia stosunków między pracodawcami i pracownikami, na które patrząc, nie chciałoby się prawie wierzyć, że tam gdzieś na zachodzie te czynniki pracy mogą stawać z sobą w zgubnym antagonizmie. Cześć i uznanie ludziom, których hasłem jest nie zysk największy, ale poszanowanie w pracującym godności człowieka.

CLAUDE BERNARD
I NOWOŻYTNY MATERYALIZM.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 66).

Skutki *sił fizycznych i mechanicznych* w organizmie żyjącym nie różnią się również niczém od skutków sił fizycznych i mechanicznych w przyrodzie, chyba tylko narzędziami, za pomocą których się przejawiają. Mięsień sprowadza ruchy, podlegające tymże samym prawom mechaniki powszechnéj, którym podlegają i ruchy machin sztucznych, co jednak wcale nie przeszkadza temu ażeby mięsień stanowił przyrząd mechaniczny odrębny i właściwy zwierzęciu, którego ruchem kieruje nerw, również za pomocą odrębnego i właściwego żyjącemu jestestwu przyrządu. Przemiany, powodowane działaniem chemiczném soków kiszkowych, właściwych gruczołom, mogą również być uskutecznione za pomocą odczynników mineralnych. Zwierzęta wytwarzają cieplik, nie różniący się w niczém od cieplika, wytworzonego przez substancye mineralne. Ryby elektryczne wytwarzają elektryczność zupełnie zgodną z elektrycznością metalicznego słupa,—a jednak, organ elektryczny ryby stanowi przyrząd żywotny odrębny, stojący pod rozkazami systematu nerwowego, którego fizyk sztucznie nigdy wytworzyć nie zdoła. To samo można powiedzieć i o czynnościach nerwów i organów zmysłów; są to wszystko fizyczne narządy odrębne i właściwe tylko żyjącym jestestwom. W rzeczywistości istnieje więc tylko jedna fizyka, jedna chemia i jedna ogólna mechanika, obejmujące wszystkie przejawy zjawisk przyrody tak w świecie mineralnym jak i organicznym. Słowem w żyjącém jestestwie nie spostrzegamy ani jednego zjawiska, któreby nie rządziło się prawami istniejącemi zewnątrz niego, tak, że możnaby postawić tę zasadę, że wszystkie przejawy życia powstają z sił, co do swych własności, należących do świata zewnętrznego, lecz objawiających się pod postacią zjawisk, lub też urządzeń, właściwych żywotnéj materyi, za pomocą narzędzi fizyologicznych odrębnych.

Możnaby jeszcze postawić i to zdanie, że w żyjących ciałach *siły kierujące* czyli *rozwojowe* (évolutives) zjawisk są morfologicznie żywotne, *siły wykonawcze* zaś takie same, jak i w ciałach nieżywotnych. I tak np. kość wyrasta za pomocą substancyj chemicznych, które i chemik wydobyć jest w stanie; lecz on nie zrobi z nich kości o właściwéj budowie, z charakterystycznym jéj układem. To samo można powiedzieć i o wszystkich innych tkaniach. Morfologia organiczna tedy odznacza żyjące jestestwo, lecz *prawu morfologicznemu*, dającemu *początek* żywotnéj tkaninie, podlegają i służą siły powszechne fizyczne i chemiczne. Chemia fizyologiczna może zatém pokusić się o to, by wszystkie zjawiska chemiczne w żyjącem ciele odnieść do tychże samych *praw*, które rządzą objawami w świecie nieorganicznym, lecz ona byłaby na drodze błędnéj, gdyby je chciała odnieść do *jednakowych sposobów* powstawania. Można przeto postawić tę ogólną zasadę, że w ciałach żyjących żadne chemiczne zjawisko nieodbywa się *nigdy* za pomocą tychże samych sposobów, co w świecie nieżywotnym. Dla tego jest to dążność zupełnie *błędna*, chcieć zrównać sposoby chemiczno-fizyczne w żyjących organizmach, ze sposobami (procédés) w świecie mineralnym. Możnaby w téj mierze przytoczyć wiele przykładów przekonywających o niedorzeczności podobnych przypuszczeń. I tak np. zewnętrznie, *rozcieńczony* kwas solny zmienia krochmal w dekstrynę i glykozę, gdy tymczasem w organizmie żywotnym ta zmiana następuje w skutek działania osobnego fermentu: diastazy. Na podstawie takiego samego błędnego mniemania zrobiono pomyłkę, sądząc o działaniu żółci na ciała tłuste, i o działaniu alkalij we krwi na znajdujący się w organizmie cukier, lub o tworzeniu się mocznika w organizmie i t. d. Objawy organicznéj odnowy tedy odróżniają żyjące jestestwa od ciał nieżywotnych mineralnych.

Te objawy są że one następstwem działania jakiéjkolwiek osobnéj siły, t. n. *siły żywotnéj* czyli też wynikiem działania zwyczajnych sił fizyczno-chemicznych? Na to pytanie Claude Bernard odpowiada kategorycznie. W żyjących jestestwach zjawiska są wyrazem mechanizmów i *własności organicznéj materyi*, wytworzonéj przez *siłę żywotną*, nie istniejącą po za obrębem organizmu; dla tego też te organiczne mechanizmy się różnią od wszystkich innych istnieniem *siły tworzącéj i odradzającéj* wszystkie ich narzędzia. Trzeba jednak, aby materya posiadała odpowiednie własności, jeśl ma być wyrazem zjawisk. I tak, wiemy że pewne substancye, posiadające analogiczne własności, mogą się zastąpić nawzajem w tkaninach. Magnezya np. może zastąpić wapno przy wytworzeniu skorupy jajka; chlor zastępuje wodor w tłuszczach, które przez to nietracą wcale swych własności istotnych. Ztąd możnaby wyprowadzić wniosek, że nietyle natura sama materyi, jak raczéj bezwątpienia jéj budowa (arrangement) powoduje odpowiednie zjawiska. Mając raz daną formę życiowych zjawisk i własności organicznéj materyi, rozpoznanie stosunków chemicznych i fizycznych w ciałach żyjących przedstawia te same podstawy co w i ciałach nieżywotnych. Ani materya organiczna ani materye nieorganiczne nie zradzają (engendrent) tych zjawisk, które w nich się odbywają; one służą im za morfologiczny warunek powstania. Trzeba się również wystrzegać, aby nie mieszać *funkcyi organów* z *własnościami* organicznéj materyi. We wszystkich przejawach życia, funkcye objawiają się nam jako zjawiska *metafizyczne*, których nie można połączyć z budową materyi samęj w sobie (t. j. one nie są prostym bezpośrednim wynikiem materyi) gdy tymczasem właściwości organiczne przedstawiają się jako fizyczne lub fizyologiczne zjawiska, wynikające wprost z budowy saméj materyi. Dla tego możemy działać wprost na materyę, ale nie na funkcye.

Z tego wszystkiego widzimy więc, że Claude Bernard rozróżnia w objawach życiowych dwa szeregi, jeden: odbywający się na podstawie sił i praw fizyko-chemicznych; np. wszelkie ruchy, krążenie krwi i w ogóle wszelkich soków, tra-

Dalszy ciąg w dodatku.

SZKIC L. KUNICKIEGO.



Edzio tylko dwie klassy ukończył i uczyć się nie chciał, trochę głupowaty i mówią nieco niedowarzony, wyszedł jednak na obywatela i jest pożądaną partyą w okolicy.

Do niniejszego numeru dołącza się dodatek.

DODATEK DO „WIEŃCA” Nr. 67-go.

wienie i t. d.;—drugi, odbywający się na podstawie osobnéj i właściwéj żywotnéj siły, jak np. tworzenie i odradzanie się organizmu i jego części,—które to ostatnie również nie jest niczém inném, według tego, cośmy wyżéj przytoczyli, jak nieustanném tworzeniem. „Słowo: *siła żywotna*, nie służy tutaj dla odróżnienia i oznaczenia *natury* zjawisk, lecz tylko dla *oznaczenia przyczyny twórczéj* materyi organicznéj, nadającéj formę, postać, żywotnym mechanizmom.” Ażeby zrozumiać ten nacisk, który Claude Bernard kładzie na tę różnicę i w ogóle przyczynę, dla czego jak późniéj zobaczemy, on pod względem pojęcia siły żywotnéj zdaje się robić *pozornie* ustępstwo panującéj obecnie szkole, trzeba mieć na pamięci, że on wszędzie rozróżnia ściśle *życie samo w sobie i jego przyczyny*, *od możności pojęcia*, czyli raczéj, uchwycenia i zrozumienia jego objawów i praw nim rządzących t. j. nauki o życiu ciała organicznego, t. j. fizyologii.

„Ponieważ celem fizyologa eksperymentatora jest jedynie działanie na zjawiska ciał żyjących, główną rzeczą dla niego wyjaśnić sobie *sposoby* i poznać szczególne narzędzia za pomocą których żyjący organizm uskutecznia te sposoby; w tém leży całe zadanie fizyologii jako nauki. Polega ona głównie jak widzimy na dokładném znaniu wewnętrznéj budowy i własności, przymiotów, każdéj części żyjącego organizmu, t. j. fizyolog powinien przedewszystkiem poznać wszystkie fizyologiczne narzędzia żyjącego ciała i warunki ich czynności *w tych stosunkach* naturalnych w jakich się w ciele znajdują, ażeby mógł potem zrozumieć wyjaśnić i uporządkować mechanizmy życiowe. Mamy więc do rozróżnienia i *osobną morfologią* i istnienie *siły*, która stwarza i odradza wszystkie narzędzia żywotnych mechanizmów. Lecz ta różnica nie może wpłynąć na *odłączenie badania objawów życiowych od podobnegoż badania zjawisk nieżywotnych*. Chemik zmuszony jest przyjąć przy swém badaniu za punkt wyjścia pierwiastkowe przymioty materyi organicznéj. *Pierwotna zaś przyczyna stworzenia czy to materyi nieżywotnéj, czy też żywotnéj, usuwa się przed nami. Życie nie zradza nic, ono nie stwarza ni siły ni materyi pierwotnéj, ono tylko powoduje* (*détermine*) *budowę* (*arrangement*) *organiczną, charakteryzującą materyę zorganizowaną i wytwarza postać czyli morfologią szczególną żywotnych zjawisk*.” Słowem nie trzeba nigdy mięszać między sobą *przyczyn i warunków*, wszystko zależy na tém. *Materya nigdy nie jest przyczyną* czegośkolwiek bądź, ona jest tylko *warunkiem*, tak samo w zjawiskach nieżywotnych jak i żywotnych. *Otóż uczony* nie powinien *nigdy powodowości* (determinisme) zjawisk szukać gdzieindziéj, tylko w ich *warunkach*, mających znaczenie *przyczyn najbliższych*. *Przyczyny pierwotne* (causes prémières) *są po za obrębem jego możności i nie powinny go nigdy zajmować*.”

Uchwyciwszy dokładnie te różnice będziemy mogli łatwiéj zrozumieć to, co mówi o *sile żywotnéj*. „W żyjących jestestwach można bez wątpienia przyjąć istnienie władzy *organotwórczéj* (organogénique) którą by można nazwać *życiem*, tak samo jak się w nich widzi rozkład czyli zniszczenie, które nazwać się da *śmiercią*. Jeśli więc *władzy* organizacyi i odżywiania ciał żyjących dajemy nazwę: *siła żywotna*, czynimy to jedynie dla oznaczenia przez tę nazwę *że się w nich znajdują zjawiska organizacyi*, które nie spostrzegamy w ciałach nieżywotnych. Lecz nie należy sądzić, jak to czynią *witaliści*, że to jest siła, któréj cudowna i nadzwyczajna istota byłaby niezwalczoną przeszkodą do *uchwycenia natury życiowych zjawisk* tak iżbyśmy nigdy do tego dojść nie zdołali gdyż w rzeczywistości *nie ma żywotnéj siły* w żyjących jestestwach tak samo jak *nie ma siły mineralnéj* w ciałach nieżywotnych. Wyraz *siła* stanowi w naukach eksperymentalnych tylko abstrakcyą, sposób mówienia. Nikt siły uchwycić nie jest w stanie, ani też działać na nią, są tylko *zjawiska*, które się spostrzega i *warunki* zjawisk, które dosięgnąć się zdoła. Trzeba więc z góry o tém wiedziać, że nazwa: *siła żywotna* ma znaczenie li czysto *idealne*, i być przekonanym, iż zadaniem naszém zająć się jedynie *badaniem żywotnych zjawisk i określeniem* fizycznych i chemicznych *warunków* ich istnienia i rozwoju. Wypadałoby nawet zamienić słowo: *siła żywotna*, będące nie jasném, na słowa: *zjawiska organotwórcze* albo *odżywcze*, mające bardziéj określone znaczenie i oznaczające wyraźnie zjawiska organizacyi, dające początek wszystkim przejawom życia. W fizyologii, jak i w naukach odnoszących się do świata nieżywotnego, trzeba się wystrzegać walki na słowa, i chęci szukania wyjaśnienia rzeczy w zagadkowych przymiotach urojonych własności lub też w jakiejkolwiek bądź utajonéj sile. *Zjawiska organorodcze* czyli organicznéj twórczości stanowią wprawdzie wyłączną własność żyjących jestestw, pomimo to one nie są wcale tajemnicze, gdyż wiemy, że je tak samo uchwycić można jak i wszystkie inne. One mają swą siedzibę w charakterystycznych pierwiastkach tkaninowych, a warunki fizyczne i chemiczne ich istnienia są ścisle określone. Otóż te zjawiska organorodcze i odżywcze wypada zaś przedewszystkiem poznać, gdyż w nich się zawiera istotny pierwiastek życia. One to rodzą wszystkie inne zjawiska organiczne i tylko ich zbadanie da nam poznać *prawa żywotne* właściwe. Na podstawie znajomości własności pierwiastków tkaninowych można tylko wyjaśnić i uporządkować zjawiska życia, lecz z przyczyny znikomości organicznych jestestw, trzeba związać zmiany i przejawy tych własności z *prawem rozwoju organorodczego* czyli *twórczego* organicznéj materyi.” „Powiedzieliśmy w inném miejscu, że fizyolog mógłby na równi z chemikiem *wytworzyć nowe organizmy*. I w rzeczywistości nie ma większego niepodobieństwa wytworzyć żyjące jestestwo, jak każde inne ciało mineralne. Lecz fizyolog musiałby w takim przypadku *wziąść za podstawę* materyę zorganizowaną i za pomocą *warunków* właściwych nadać jéj pewne fizyologiczne zmiany a jéj zjawiskom nowy kierunek. Wszystkie utwory chemika lub fizyka są w rzeczywistości li przerobami. On nie tworzy wcale sił fizyko-chemicznych; on im dostarcza tylko warunki zjawienia się w formach, *nowych wprawdzie dla człowieka, lecz istniejących od wieków utajone w odwiecznych prawach przyrody*. Tak samo i fizyolog, *wytwarzając nowe żyjące jestestwa, ani przypuścić może iż stworzył siłę żywotną* on tylko tak jak i chemik i fizyk, *wykrył szczególne warunki*, śród których *zarodek zdoła przyjąć nowy kierunek rozwoju i spowodować wytworzenie się dotąd nieznanego organizmu*.”

Claude Bernard nie zaprzecza zatém istnienia czegoś, co my nazywamy siłą żywotną, t. j. przyczyną objawów właściwych i odrębnych, które my nazywamy żywotnymi; zaprzecza tylko temu, jakobyśmy tych objawów uchwycić i praw, według których powstają i przebiegają, zrozumieć nie byli w stanie; tak jak chwytamy zjawiska ciepła, światła, magnetyzmu, elektryczności, ustanawiamy prawa ich rozwoju i przebiegu, a jednak, przyczyna ich nam dotąd jeszcze w zupełności jest tajną. Wreszcie trzeba odróżnić ściśle *własności żywotne*, które się kierują prawami fizyko-chemicznemi i *czynności*, *funkcye* organiczne, które są niejako metafizycznemi, wynikiem ustroju lub postaci, właściwych żyjącym jestestwom. Działać możemy tylko na własności, na funkcye wprost działać nie jesteśmy w stanie. Otóż te *funkcye*, ta *postać*, ten *nastrój* osobny i właściwy, są dziełem osobnéj *siły żywotnéj*, nie zaś, jak nowoczesny realizm, czyli raczéj krańcowa jego strona, materyalizm, przypuszcza, dziełem prosto sił fizyko chemicznych. *Siła żywotna płodzi*, *wytwarza*, *daje kierunek budowie jestestwa*, *i funkcyom jego*. Pierwiastkiem zaś histologicznym szczególnym téj twórczości jest *jajko*, *zarodek*. Jajko pierwotne czyli pęcherzyk zarodkowy jest zupełnie jednakowy (identique) u wszystkich zwierząt. Przedstawia się on pod postacią prostéj komórki, a z téj pojedynczéj komórki powstaje cały organizm, jakakolwiek bądź jest jego budowa, prosta lub też najbardziéj powikłana. Ta komórka, raz wytworzona zachowuje się tak samo, jak wszystkie inne i czy to pod względem dalszego rozradzania, czy też swojego odżywienia, kieruje się prawami wspólnemi wszystkim komórkom w ogóle. Otóż ta komórka, to jajko, jest najcudowniejszym utworem, gdyż ono wytwarza cały organizm. Nikogo nie zadziwiają zjawiska, które ciągle ma przed oczyma, gdyż,—jak Montaigne się wyraża, więcéj przyzwyczajenie jak nauka odbiera im nadzwyczajność. Lecz—mówi Claude Bernard, cóż jest cudowniejszego nad to organiczne tworzenie, którego jesteśmy świadkami i jakim sposobem możemy je połączyć z własnościami materyi, z któréj jajko powstaje? Tutaj daje nam się dokładnie czuć niedostateczność fizyologii czysto anatomicznéj, téj fizyologii, którą Heller nazwał: *anatomia animata*, anatomią ożywioną. Jeżeli sobie chcemy zdać rachunek z siły mięsnéj, to nie tak trudno pojąć, że w tém może mieć prosto udział ściągliwa substancya, na podstawie swych własności wrodzonych, od budowy fizycznéj lub chemicznéj zawisłych. Lecz jeśli chodzi o rozwój organiczny, który cały dopiero jest przyszłością, nie podobna pojąć własności materyi, obliczonéj na daleką przyszłość (à longue portèe). Jajko jest *przyszłością* (devenir) *w rozwoju*. Jakżeż tu pojąć, że istnieje materya, mająca tę własność, iż zawiera w sobie własności i grę mechanizmów, które jeszcze wcale nie istnieją? Jajko, uważane samo w sobie, stanowi właściwie tyiko pierwiastek plastyczny, który u wszystkich organicznych jestestw ma tę własność, iż przyciąga i gromadzi w koło siebio materyały niezbędne do utworzenia organizmu. U wszystkich jestestw przedstawia ono jednakową prawie budowę, a postać jego nie może żadną miarą posłużyć do odróżnienia i oznamionowania jakiegokolwiek rodzaju zwierząt, tak jak i forma mięsnego włókna, nerwu lub jakiéjkolwiek innéj komórki w tym celu posłużyć nie może. Wypada zatém szukać gdzieindziéj przyczyny téj *szczególnéj siły* jajka, polegającéj na tém, że wyradza zawsze istotę, któréj postać i gatunek już naprzód z góry sę oznaczone (determinées). Zdawałoby się że ta potęga zawisła raczéj od stroju (arrangement) jak od przymiotów materyi chemicznéj, składającéj jajko, dla tego też można powiedzieć, że *materya niezradza tych zjawisk*, *które się w niéj objawają*. Ona tylko tworzy *warunki przejawiania się ich*. Jaj-

ko jest potężnym srodkiem czynności odżywczéj i przez to właśnie *wytwarza warunki dla urzeczywistnienia się twórczéj idei*, która się przenosi z jednego jestestwa na drugie przez dziedzictwo czyli *organiczną tradycyę*. Jajko kierując tworzeniem się organizmu, powoduje odnowienie się jestestw i staje się pierwotnym i zasadniczym warunkiem wszystkich dalszych życiowych zjawisk".

Jednakże nie trzeba zapominać, że pojęcie siły żywotnéj jest właściwie tylko wnioskiem, idealnym wyrażeniem, pierwotnéj przyczyny pewnych zjawisk, któréj my ani uchwycić ani zrozumieć nie jesteśmy dotąd w stanie. „Pierwotne przyczyny zjawisk wszędzie nam są niedostępne; uchwycić możemy tylko ich przejawy." Siła żywotna zatém jest niewidoma, nie uchwytna; uchwycić możemy tylko jéj przejawy. Zwykłe objawy żyjącego organizmu kierują się ogólnemi prawami chemicznemi i fizycznemi materyi. Lecz to, że się wytwarza z téj materyi pewna, z góry, naprzód *oznaczona* postać; że ta postać ma z góry *oznaczoną* budowę, t. j. pewną ilość, mniejszą lub większą, pewnych żywotnych mechanizmów; że te mechanizmy, t. j. organa i tkaniny, wytwarzają się w pewnym, *oznaczonym* porządku, w danéj tylko i z góry *oznaczonéj* miejscowości, z pewnym, z góry *oznaczonym* napięciem czynności, i z pewną z góry *oznaczoną* trwałością, z pewnym z góry *oznaczonym* wzajemnym związkiem; że nawet sam organizm posiada pewną, z góry już w chwili zaczęcia *oznaczoną* trwałość, tak że odnawiając się przez odżywienie, tylko pewną, ograniczoną, i z góry *oznaczoną* ilość razy odnowić się zdoła i t. d.—to wszystko są przejawy, *nie materyi jako takiéj i sił zwykłych fizyczno-chemicznych ale siły osobnéj* t. j. *przyczyny*, którą zowiemy *siłą żywotną*. Wszakże i same siły fizyczno-chemiczne podlegają jéj władzy, gdyż ona określa ich ilość, jakość, stopień napięcia i miarę w jestestwie. I tak np. ciepło, niemoże przechodzić pewnych granic, które dla pojedynczych organizmów są ściśle określone; procesa chemiczne również odbywają się w pewnych z góry *oznaczonych* granicach, następstwach sile, natężeniu, i z pewnemi odmianami, właściwościami, których po za organizmem nie napotykamy. My widzimy przeto, że wszystkie zjawiska w organizmie są z góry *prze widziane* i *oznaczone*, a to *oznaczenie z góry* stanowi prawo, według którego one się przejawiają. Otoż to prawo podlega naszemu spostrzeżeniu, przyczyna zaś pierwotna t. j. siła żywotna, przedstawia się nam tutaj jako *bezwzględna przedoznaczoność* (determinisme absolu). Dla p. Claude Bernarda ten widomy i uchwytny *determinizm* jest tedy wyrazem *idealnéj siły żywotnéj*. Siły żywotnéj, ostatniéj przyczyny organicznego życia chwycić niemożemy, ale możemy uchwycić determinizm, widome jéj prawo i użyć ono za podstawę dalszych naszych obliczeń, jak to czynimy ze światłem, elektrycznością i t. d. chociaż ani drgającego eteru, ani przyczyny i natury drgań nie znamy i nie pojmujemy, tak jak niepojmujemy również ani istnienia ani natury atomów materyi i ostatecznéj przyczyny ich istnienia.

„Ten *determinizm* istnieje tak samo w zjawiskach żywotnych jak i nieżywotnych. Żyjące organizmy są z konieczności śmiertelne czyli znikome, a to dla tego, że materya organiczna znamionuje się przedewszystkiem nadzwyczajną zmiennością i skłonnością do rozkładu. Ażeby więc życie rodzaju niezniknęło, koniecznem jest odnowienie organizmu, czyli indywidualnéj machiny żyjącéj. Aby zaś życie jednostki zachowało naznaczony sobie rozwój i czas trwania, trzeba ciągle utrzymywać czynności żywotne za pomocą odnowienia i nieprzerwanego odżywiania organicznéj materyi. Otoż ten przymiot odnawiania się i odtwarzania nieustannie za pośrednictwem odżywienia, stanowi wyłączną własność jestestw organicznych. Te zjawiska kierują się prawami, których nie spotykamy nigdzie indziéj. Wprawdzie kryształy uszkodzone lub odłamane odradzają się i zabliźniają, w skutek nadmiernego wytężenia pracy krystalizacyjnéj, w tém samém miejscu w którém zostały uszkodzone. Byłoby to zatém pewne podobieństwo do tego, co się dzieje w żyjących jestestwach. Lecz różnica jednak w tém, że kryształ zabliźnia się za pomocą siły zewnętrznéj i w otaczającym go środku zewnętrznego świata, gdy tymczasem zwierzę lub roślina zabliźniają się na koszt swego wewnętrznego środka, t. j. za pomocą materyału, który sobie organizm sam przysposobił. Czyliż z tego mamy wyprowadzić ten wniosek, że zjawiska odrodzenia i odżywienia, stanowiąc zjawiska żywotne *par excellence*, stoją po za obrębem *determinizmu naukowego* i nie dają się uchwycić? Wcale nie, gdyż tak one jak i wszystkie inne zjawiska, posiadają *z góry oznaczone* warunki swego istnienia i urzeczywistnienia. Słowem my widzimy jak machiny żyjące się tworzą i organizują w naszych oczach za pomocą odrębnych sposobów (procédés), właściwych *sile żywotnéj*, sposobów które w nich się pojawiają. My widzimy, jak one biorą początek z histologicznego pierwiastku, z mikroskopijnego jajeczka, realizującego i przedstawiającego w sobie i wyłącznie ideę zupełnego rozwoju organizmu jak najzawilszego. Otoż, chociaż zjawiska życiowe biorą swój początek z pierwotnego źródła w mikrokosmie, oddzielającego je od wszechświata zewnętrznego (mokrokosmu) podchodzą one jednak *co do swoich przejawów*, pod ogólne fizyko-chemiczne prawa wszystkich ciał, stanowiących świat zewnętrzny. Ztąd wynika że *warunki* istnienia żywotnych ciał mogą być zawsze odniesione do praw determinizmu naukowego ścisłego, odnoszącego się do praw fizyczno-chemicznych. Lecz pomimo to chociaż *warunki* przejawów życiowych dadzą się uchwycić za *pomocą eksperymentu*, same przejawy jednak podlegają prawom odrębnym i właściwym rozwoju, stanowiącego ich znamię."

Przypatrzmyż się teraz jak Claude Bernard stawia się do nauki *o przemianie i nowém wytwarzaniu się gatunków*. Co do pierwszego mówi on: Po wszystkie czasy uważano, że pomiędzy jestestwami istnieje pewien związek rodowy t. j. że większa część jestestw powstaje widocznie z rodziców; u reszty ten związek rodowy nie był widoczny i dla tego przypuszczano samorodztwo, t. j. rodzenie się czyli powstawanie *bez rodziców*. Kwestya to stara, którą w ostatnich czasach na nowo podniesiono i poddano badaniu. We Francyi b. oni jéj szczególnie p. *Pouchet*, który jednak nie przypuszcza samorodztwa dorosłego jestestwa, tylko jego zarodka. Otoż to przypuszczenie zdaje się ze wszech miar nieprawdopodobném. Jajko, zarodek, przedstawia w rzeczywistości organiczną niejako formułkę, zawierającą w sobie warunki rozwoju danego jestestwa, właśnie *dla tego, że od niego pochodzi*. Jajko jest jajkiem, czyli zarodek zarodkiem tylko dla tego, że posiada władze w potędze (virtualité udzieloną sobie przez uprzednie organiczne rozwoje, *których ślad, odcisk czyli pamięć* niejako zachowuje (*). Otoż ten samoistny (originelle) kierunek, będący tylko atawizmem mniéj lub więcéj wybitnym, nie może się nigdy objawić samowolnie i od razu (d'emblée). On wymaga koniecznie dziedzicznego wpływu. Niepodobna pojąć aby komórka, powstała samoistnie, bez rodziców mogła się rozwijać w danym kierunku, jeśli nieposiadała żadnego poprzedniego stanu. Niepodobna również przyjąć tego wyrazu: *samorodztwo* dla oznaczenia rozwoju pierwiastków anatomicznych w środku czyli w jakimkolwiek bądź płynie zarodzinowym. Jeśli to ma wyrażać, że organizowane pierwiastki mogą się pojawić w płynie, w którym ich poprzednio nie dostrzeżono, nie można temu zaprzeczyć. Wszak zarodek pojawia się również w jajku, w którym go poprzednio nie dostrzegano; gdyby więc przyjęto, że on się tam zjawia w skutek samorodztwa, wpadlibyśmy w największe zamieszanie wyrazów. Nic się nie rodzi samo z siebie w żyjących jestestwach; wszystko się tworzy na mocy prawa o tradycyi organicznéj, połączonéj z dziedzicznością i na mocy warunków, z góry ściśle oznaczonych. Prawdziwe samorodztwo byłoby wtedy, gdyby się rodziły jestestwa *bez rodziców*, wytwarzających dla nich środek rozwojowy, jajko lub zarodek. Otoż ten rodzaj rozrodzenia nie został dotąd jeszcze stwierdzony i przyjąć go niepodobna. Płyny zaś zarodzinowe, wytworzone przez organizm, można uważać za roztwory organicznych pierwiastków, zawierających je czy w postaci zarodka czy też w potędze (virtuellement). Nie byłoby więc nic dziwnego, gdyby podobny płyn zarodzinowy dał początek takimże samym pierwiastkom jak one. W miarę udoskonalenia naszych środków badania przekonamy się, że te wszystkie wypadki samorodztwa dadzą się w końcu podciągnąć pod prawo generacyi zwyczajnéj jak to pp. Coste i Gerbe o wymoczkach dowiedli. Rozrodzenie (generation), w najprościejszéj swojéj formie, łączy się rzeczywiście z odżywieniem. W jestestwie znajduje się wtedy potęga twórcza, będąca zarazem i odżywczą i rozwojową. Wiemy np. że u hydr i planaryj (jestestwa należące do najniższych rzędów zwierząt) mogą wszystkie komórki odżywcze zmienić się w jajka lub pączki. Wiemy także, że pączki, zarodki zwierzęce lub roślinne, są to po prostu cząstki ciała, oddzielające się dobrowolnie dla wytworzenia nowego jestestwa. W tych razach mamy równocześnie i odżywienie i rozwój, nie ma jeszcze płciowości, czyli raczéj, jest dwupłciowość pierwotna, pierwiastkowa. Rozwój czyli rozrodzenie wymoczków następuje często przez rozszczepienie (scission) lub rozpadanie (fractionnement) i odżycie, jak np. u paramecyj, gdzie dwa indywidua się ściśle łączą, przylegając jedno do drugiego, potém otaczają powłoczką i zlewają w jedną massę, rozpadającą się nakoniec w kruszyny, nabierające życia i stające się tyluż odrębnemi jestestwami. Zdawałoby się, że zachodzi związek ścisły między pierwiastkowemi organizmami, jakiemi są np. wymoczki, i pierwiastkami histologicznemi skomplikowanego organizmu, stanowiącemi również nie co innego jak tylko podobne pierwiastkowe organizmy, związek dowodzący niemniéj jednorodności tak objawów żywienia jak i objawów generacyi czyli rozrodzenia. Z rozwojem budowy jestestw zjawia się i *płciowość* a wpływ jéj wyraża się czynnością odrębną, tak zwanym *zapłodnieniem*, które w rzeczywistości jest tylko popędem odżywczym dającym początek, w danéj chwili, *odżywie-*

(*) Taką władzę w potędze posiada np. nasienie, lub pączek, zawierające w sobie utajoną władzę rozwinięcia się w taką samą roślinę, jak ta, od któréj pochodzą.

niu rozwojowemu. Jest to zatém udoskonalenie, gdyż odżywienie rozwojowe nowéj istoty staje się odtąd samodzielném, związaném z odrębném fizyologiczném zawarowaniem. Ono nadaje samoistnie i pierwotnie każdemu organizmowi popęd odżywczy, nakreślający z góry długość życia, t. j. nadaje razem ze znamieniem typu i potęgę odżywczą, zachowującą organizm przez pewien czas *oznaczony* t. j. przez przeciąg pewnéj ilości odnowień jego. I tak można np. gliście obciąć głowę, która potém odrośnie, lecz nie więcéj jak dwa lub trzy razy. Pewne rodzaje wymoczków rozradzają się przez rozszczepianie przez czas niejakiś; potém gdy siła tego rodzaju rozradzania odżywczego się wyczerpie mnożą się za pomocą środków płciowych i nabierają przez to nowéj siły odżywczéj. Tak samo dzieje się i u pszczół, u których pierwsze rody odbywają się w sposób parthénogenetyczny, t. j. bez uprzedniego zapłodnienia, następującego dopiero wtedy gdy trzeba wzmocnić potęgę odżywczą rozrodzenia i dodać jéj siłę wystarczającą dla wytworzenia kilku pokoleń. Również i za pomocą otaczających nas wpływów fizyczno chemicznych możemy działać na zjawiska rozwojowe, właściwe żyjącym jestestwom. W obecnym stanie rzeczy, widzimy, że dziedziczność czyli organiczna (żywotna) tradycya zdaje się ustalać gatunek t. j. zdaje się nadawać żyjącym organizmom typ budowy *stały i z góry oznaczony*. Jednakże spostrzegamy mnóztwo odmian tego typu, wyradzających się codziennie w naszych oczach pod wpływem rozmaitych, otaczających nas fizyczno-chemicznych warunków, a doświadczenie nas uczy, że za pomocą działania kosmicznych działaczy, wpływających szczególnie na odżywienie, można rozmaity wpływ wywrzeć na organizm i wytworzyć odmiany indywidualne, posiadające przymioty szczególne i stanowiące niejako jestestwa nowe. Można także użyć krzyżowania, skorzystać z pewnych dziedzicznych lub wrodzonych usposobień, ażeby przez wolny wybór sprowadzić pewne zmiany żyjących jestestw i utrwalić odmiany zwierzęce, a nawet wytworzyć nowe gatunki roślin i t. d. Lecz dotąd to wszystko jeszcze jest na stanowisku czystego empiryzmu. *(d. c. n.)*

PODRÓŻ BALONEM
„JULES FAVRE"
odbyta z Warszawy dnia 12 sierpnia 1872 roku,

SKREŚLIŁ FELIKS FRYZE.

Wycieczka napowietrzna, odbyta w zeszły poniedziałek dnia 12 Sierpnia r. b. przez trzech współpracowników prassy tutejszéj pod przewództwém kapitana aeronautów francuzkich p. Bunelle, żywo zajęła publiczność naszą. Wprawdzie przed kilku laty aeronauci bracia Berg, kilka razy urządzali podróże balonowe, w których wzięło udział także kilku mieszkańców Warszawy, ale wycieczki te były nadzwyczaj krótkotrwałe bo zaledwie kilkowiorstowe, gdy tymczasem w czasie obecnego wzniesienia napowietrznego, balon spadł o 15 mil od Warszawy w prostym od niéj kierunku, przebywszy jednak w skutek nieregularnego swego biegu przeszło 30 mil w ciągu półczwartéj godziny.

Dawniejszym też u nas podróżom balonowym towarzyszyły zwykle jakieś cyrkowe przynęty: bracia Berg w chwili wzlatywania balonu wywracali koziołki na trapezie zawieszonym pod łódką; dawniéj zaś głośny Tardini (jak wiemy to z pewnością, faktor koni, rodem z Warszawy) używał zamiast łódki żywego jelenia, stojąc na nim i strzelając z dubeltówki.

Zeszłotygodniowa podróż, nie mająca nic w sobie w tym rodzaju, była zatém pierwszą w kraju naszym wykonaną w sposób poważny i najdłuższą przytém ze wszystkich.

Opisy téj ciekawéj wycieczki skreślonéj przez jéj uczestników pomieszczone już były w kilku tutejszych pismach codziennych, nieuwalnia to jednak pism niecodziennych, zwłaszcza illustrowanych, od obowiązku podania swym czytelnikom pewnych, przynajmniéj ciekawszych i ważniejszych wiadomości w tym przedmiocie. Obowiązku tego na życzenie redakcyi „Wieńca" podejmuję się z całą przyjemnością, zwłaszcza że nieraz już miałem przyjemność przemawiania do jego czytelników, chociaż w przedmiotach mniéj ciekawych.

Raczą mi łaskawi czytelnicy i czytelniczki wybaczyć, jeżeli w niniejszym opisie znajdą może myśli, które mi zdarzyło się gdzieindziéj już przedtém wypowiedzieć.

Publiczność ciekawa jest głównie dwóch rzeczy: opisu saméj podróży a bardziéj jeszcze wrażeń z niéj odniesionych.

Na te dwie też strony przedewszystkiem zwrócę uwagę.

Opisywać wszystkich przygotowań do drogi nie myślę, jeżeli jednak jesteście ciekawi usposobienia gotujących się do wycieczki zwolenników wrażeń, to powiem wam, że usposobienie to zależne zresztą od charakteru indywidualnego, nie zdradzało bynajmniéj obawy ale niecierpliwość, chwilami bardzo silną nawet, by podróż przyszła nareszcie do skutku i to jak najrychléj. Dwaj moi koledzy prasowi, którym nieodrazu p. Bunelle przyobiecał miejsce w łódce, bardziéj się jeszcze niecierpliwili. Naturalnie, że dwukrotne odłożenie podróży: jednéj niedzieli dla deszczu, a drugiéj dla braku gazu, nieprzyjemnie na nas oddziałało, jak każdy zresztą zawód.

Ujrzawszy w poniedziałek o godzinie 10 rano balon zupełnie już wydęty i przygotowania do odjazdu prawie już ukończone, uczułem wielką radość, że nareszcie po wielu latach zbliża się chwila zadośćuczynienia zamiarom dawno przezemnie żywionym,—chwila w któréj zawieszony wśród obłoków będę mógł spojrzeć na nasz padół płaczu.

Tłumy znajomych i przyjaciół życzą mi szczęśliwego powrotu, myśl moja jednak zajęta jest w téj chwili nie powrotem ale wyjazdem i wybiega daleko i wysoko. Nareszcie p. Bunelle daje znak byśmy zajęli nasze miejsca w koszu zawieszonym u spodu balonu. Siadamy więc a raczéj wdrapujemy się rzucając rzeczy i prowiant w nieładzie na dno łódki, gdzie już leżały liny i kotwice. Narzędzia tylko trzymamy w rękach, by zapobiedz uszkodzeniom lub stłuczeniu.

Zajęliśmy miejsca w 4-ch narożnikach kosza i czekamy niecierpliwie chwili wzlecenia. Tym czasem odbywa się zmudna robota zrównoważenia łódki. Trzydziesto cztero funtowe worki piasku (niespełna 15 kilogramowe), któremi dotychczas balon był niby przygwożdżony do ziemi odczepiają się od sznurów i wkładają do wnętrza łódki, gdzie nam ciasno już bardzo, Nareszcie wszystko już ukończone. Przytrzymujących łódkę kilkudziesięciu żołnierzy odstępuje na stronę, balon trzyma się jeszcze tylko na grubéj linie silnie przytwierdzonéj do ziemi. Linę przecinają. Balon wzlata.

Doprawdy najciekawsze to i najprzyjemniejsze wrażenie. Z ucięciem liny zdawało mi się że zerwałem wszelkie związki z ziemią. Nigdy téj chwili nie zapomnę. W jednéj prawie sekundzie straciłem pamięć o wszystkich i wszystkiem com zostawiał na ziemi, zapomniałem nawet, że mam balon nad sobą. Ogarnęła mnie jakaś błogość, uśmiech coraz silniéj występował na usta, cisza nie odwracała uwagi. Każdy z nas w łódce znajdował się w najwyższym stopniu rozmarzenia.

Dopiero głos kapitana przywrócił nas do przytomności. Rozebraliśmy pomiędzy siebie czynności i odtąd z niewielkiemi odpoczynkami pracowaliśmy ciężko jak majtkowie na okręcie w czasie burzy morskiéj. Trzeba było odwiązywać worki piasku przyczepione wewnątrz kosza i wciągać je do wnętrza, chwilami znowu trzeba było z worków tych wysypywać piasek, a blizko trzy kwadranse poświęciliśmy na wypuszczenie z łódki na zewnątrz olbrzymiéj liny długiéj na 375 stóp i drugiéj mniejszéj zakończonéj kotwicą.

Zadanie liny z kotwicą każdemu zapewne jest wiadomem. Inaczéj jednak może ma się rzecz co do pierwszéj owéj liny.

Otóż przeznaczeniem jéj jest wskazywać przedewszystkiem kierunek i szybkość ruchu balonu. Jeśli balon pędzi szybko, w ówczas pochylony on jest na bok, jakby nie dźwigał ale ciągnął zawieszoną u spodu łódkę. Przekonywała nas o tém najbardziéj ta okoliczność, że spodni otwór balonu a więc i środek tego ostatniego nie znajdował się bynajmniéj nad naszemi głowami ale z boku. Lina wisząca pod łódką przybiera także kierunek mniéj lub więcéj pochyły i właśnie z tego jéj pochylenia wnioskuje się o wolniejszym lub szybszym biegu balonu.

Ciężar liny przyczynia się do zniżenia ogólnego środka ciężkości a więc do utrwalenia równowagi łódki. Zastosowanie też bardzo ważne ma owa olbrzymia lina przed spuszczeniem się balonu, dotyka bowiem ziemi i wlecze się po niéj coraz większą częścią swéj długości. Tarcie to osłabia siłę spadku, często też w rzutach swych gwałtownych po powierzchni ziemi lina obwija się na około pni drzew i spełnia wtedy przeznaczenie kotwicy. Wreszcie na końcu liny znajdują się rączki, za które wrazie niezatrzymywania się balonu mogą schwytać nadbiegli na pomoc ludzie. Tak więc lina owa jest jedną z najważniejszych części składowych motoru napowietrznego.

Po wypuszczeniu z łódki obu lin, po uporządkowaniu rzeczy i uszykowaniu w pogotowiu wszystkich worków piasku, spoczęliśmy nieco, podziwiając piękność roztaczającego się pod nami krajobrazu. Dla urozmaicenia otworzyliśmy nawet klapę na dnie łódki. Patrzyliśmy przez nią na dół bez najmniejszego uczucia zawrotu głowy lub przestrachu. Zdawało nam się, że patrzymy na maleńką mapkę topograficzną oprawioną w ramy koszowe. Ogromne lasy braliśmy za maleńkie łączki, wsi lub miasta za kupki zabawek dziecinnych, Wisła była strumykiem a inne rzeki odznaczały się zaledwie błyszczącemi w promieniach słońca strugami lub niemającemi żadnéj szerokości linijkami.

Jaką przestrzeń kraju obejmowaliśmy okiem nie umiem powiedzieć, ponieważ ciągle przesuwające się pod nami chmury zasłaniały ziemię w znacznéj części, chwilami nawet zupełnie. Widziałem jednak Wisłę co najmniéj na przestrzeni trzydziestu kilku mil jéj długości. Dość powiedzieć, że gdyśmy się znajdowali nad Pragą, twierdza Nowogeorgiewsk (Modlin), zdawała się leżeć pod naszemi stopami.

O tém, jak rzeczywiście kraj wygląda, można mieć wyobrażenie tylko z balonu; chociaż nie

ocenia się należycie w tym razie wzgórzystości. Owszem wszystko zdaje się być położone na jednéj płaszczyznie albo nawet przedstawiać wklęsłość. Odległość miejscowości od siebie maleje naturalnie w tym samym stosunku co inne wymiary. Ztąd krajobraz przedstawia się niezmiernie ożywionym i różnobarwnym jak drobna mozajka, wsi i miasta leżą tuż jedne przy drugich. Widok ten sprawia złudzenie, jakoby okolica nad którą się przebywa była niezmiernie gęsto zamieszkaną. Dziwiło też mnie bardzo, gdy kapitan zrobił uwagę, że w kraju naszym wsi i miasta są bardzo rzadko rozsiane. Objaśnił mnie dopiero, że w podróżach jakie odbywał w Belgii, zdawało mu się, że płynie ciągle po nad jedną olbrzymią wsią poprzerzynaną tylko ogrodami.

Chcecie teraz czytelnicy mieć porównanie wielkości przedmiotów na ziemi, to powiem wam że zaraz przy wyruszeniu z pałacu Kazimierowskiego, ogród saski ze wszystkiemi swemi drzewami wydał mi się zieloną patarafką do lichtarza. Zagony w polach przedstawiały się jak kreski w tle drzeworytu. Patrząc na nie doznawałem mienienia się w oczach, jakbym spoglądał na tło gęstych a delikatnych równoległych strychów. Ludzi ani zwierząt wcale nie widziałem nawet za pomocą wybornych lunet.

Przez cały czas podróży cisza panowała na około taka, o jakiéj nikt z was nie ma nawet pojęcia. Chwilami tylko, gdyśmy z balonem nieco się opuszczali, dolatywało nas przytłumione szczekanie psów i pianie koguta. Raz też nad jakiemiś lasami usłyszeliśmy lekkie puknięcie będące zapewne strzałem danym przez myśliwego dla zwrócenia w te strony naszéj uwagi.

Nie będę wam opisywać wszystkich kolejnych wzniesień i spadnięć balonu, wolę podać tabliczkę obserwacyj przez nas dopełnionych, z których odczytacie zmiany temperatury i wysokość barometru czyli ciśnienia powietrza.

Tabliczka ta jest następująca:

godzina	minuta	Stopnie ciepła Reamure.	Wysokość barometru w milimetr.	Uwagi.
11	1	22,0	755	Wyjazd
11	5	20,0	720	
11	10	18,0	681	nad Wisłą
11	15	16,5	668	
11	20	16,5	665	
11	2b	15,5	667	
11	30	14,5	666	
11	55	10,5	665	
12	0	11,0	670	
12	10	14,5	666	
12	20	12,0	671	przechodzimy
12	25	10,0	674	chmury
12	45	8.3	656	
12	55	8,5	655	nad r. Liwcem
1	0	9,0	666	
1	5	12,0	713	
1	7	12,0	730	
1	8	11,0	725	
1	9	12,0	713	
1	10	16,0	670	nad Łochowem
1	30	10,0	655	
2	0	5,0	654	nad Brokiem
2	20	—	656	
2	25	—	670	
2	30	18,5	755	pierwsze uderzenie o ziemię

Cyfry powyższe przekonywają pomiędzy innemi że balon najwyżéj się wzniósł dwa razy: na 5 minut przed godziną 1 z południa, nad rzeką Liwcem i o godzinie 2 z południa po nad okolicami miasta Broka, ciśnienie bowiem powietrza nad nami się znajdującego było wtedy najmniejszem. Pierwsze wzniesienie odpowiada około 2500 metrów, drugie 2600 metrów. Byliśmy zatem dwa razy na wysokości przeszło $2^1/_2$ wiorsty.

Pobyt w tych warstwach nie należy do przyjemnych. Trzeba wzdychać, w uszach szumi, w kościach łamie, umysł staje się ociężałym, jakiś smutek ogarnia każdego.

Spadłszy nieco niżéj, odzyskuje się natychmiast bez żadnego innego powodu wesołości swobodę, organizm czuje się zdrowym jak nigdy.

Trzy ostatnie cyfry w tabliczce przekonywają, że spadek ostateczny był niespodziewanym i niezmiernie nagłym. W ciągu dziesięciu minut spadliśmy z najwyższéj wysokości na ziemię w kierunku pod kątem około 45 stopni. Szybkość spadania wynosiła 5 wiorst w ciągu 5 minut, zatem odpowiadała szybkości pociągów kuryerskich na kolejach żelaznych. Pierwsze uderzenie łódki o ziemię nastąpiło punktualnie o wpół do 3-éj po południu, tyle bowiem wskazywał zepsuty w skutek wstrząśnienia zegarek jadącego z nami p. Holewińskiego. Pierwszy ten cios prawie niespodziewany wytrzymaliśmy wisząc na linach utrzymujących łódkę. Natychmiast odbiliśmy się o kilkanaście sążni w górę, poczem znowu nastąpiło uderzenie już nieco słabsze, wreszcie po kilku takich szalonych rzutach, balon pędząc przed nami niby rozhukany parochód ciągnął wywróconą łódkę a w niéj nas po łące, krzakach, wśród płotów i pni, aż nakoniec wpadliśmy na wielki karp o który zahaczyła się kotwica.

Chociaż przybici już do ziemi, nie mogliśmy jeszcze opuścić łódki, którą balon tłukł niemiłosiernie o ziemię. Nareszcie przybiegli włościanie pod przywództwem komisarzy leśnych p. p. Grymowskiego i Czachowskiego, przytrzymali rwący się jeszcze balon.

Objaśniono nas natychmiast, żeśmy spadli w osadzie Feliksów, o 4 wiorsty od miasta Brok a o 10 wiorst od Małkini, stacyi drogi żelaznéj Warszawsko-Peterburskiéj zatém o 15 mil w prostym kierunku od Warszawy.

Podróż trwała od godziny 11 minuta 1 przed południem do godziny 2 minut 30, zatem bez minuty bylismy półczwartéj godziny wśród obłoków.

Wydobyliśmy się z łódki powalani i poczochrani, na szczęście jednak zdrowi i cali. Rzeczy nasze prawie wszystkie powypadały z łódki przy wstrząśnieniach i dopiero chłopcy włościańscy poodnajdywali je na drodze, którąśmy przebywali w tak szalonym pędzie. Naturalnie że narzędzia i butelki potłukły się z małym tylko wyjątkiem. Balon nic jednak nie ucierpiał. Tylko klapa ciągniona z wysiłkiem w ostatnich chwilach spadania przez kapitana i p. Filipowskiego oderwała się w połowie.

Nie będę opisywać przestrachu włościan Feliksowa i okolic, którzy jęcząc i płacząc w chwili naszego zjawienia się uciekali z pola, sądząc że są świadkami spotkania ziemi z kometą, Wspomina Wam o tém kronikarz Wieńca, któremu fakt ten opowiedziałem Powiem tylko że włościanie po przejściu trwogi i przerażenia z całą życzliwością dla nas i usilnością pracowali wspólnie z nami nad wypróżnieniem balonu i nad jego złożeniem i upakowaniem.

Przebywszy w Feliksowie do późnéj nocy, gościnnie podejmowani w domu p. p. Czachowskiego i Grymowskiego, w nocy dojechaliśmy do stacyi Małkini, wreszcie o godzinie wpół do 6-éj zrana stanęliśmy na bruku Warszawy, któràśmy przed 18-tu godzinami opuścili w tak niezwykły sposób.

Zazdroście nam, wy wszyscy którzy możecie tylko z nieudolnego mego opowiadania odtwarzać w swojéj wyobraźni rozkoszne wrażenia, jakich doznaje człowiek unosząc się „daléj ziemi bliżéj nieba"!

PORTRET KAROLA I-go
KRÓLA ANGIELSKIEGO
przez Van Dycka.

Portret ten znajdujący się w Luwrze paryzkim jest jednym z najznakomitszych Brabanckiego malarza, a portrety stanowiły najgłówniejszą gałęź malarstwa uprawianą przez niego chociaż nie jedyną, do któréj był uzdolniony. Van Dyck umarł młodo bo w 42 r. życia (1599—1641) po długiéj i ciężkiéj chorobie, w któréj największa pieczołowitość i zajęcie się nim samego nawet króla Karola I, nie mogły powstrzymać zabójczego biegu niemocy, a zakończył życie w chwili w któréj pragnął właśnie rozpocząć nową fazę życia artystycznego dla kompozycyjnéj twórczéj zdolności marząc o obszerniejszém polu; pragnął mówię, tylko, obadwa bowiem usiłowania jego i zamiary w tym kierunku spełzły naniczém. Karol I-szy przy ówczesnych swoich kłopotach państwowych nie mógł czy nie chciał wydać znacznéj summy (około 7,500 funtów sterlingów) na ozdobienie pałacu malowidłami; zaś Ludwik XIII król Francuzki malowidła Luwru powierzył Poussin'owi. Powiadają iż to podwójne niepowodzenie przyczyniło się najbardziéj do śmierci Van Dycka; jakkolwiek bądź sztuka straciła przez to szereg dzieł pierwszorzędnéj wartości, a zmarły artysta pozostał przy sławie portrecisty. Istotnie z obrazów religijnych jakie po nim pozostały tylko wróżyć można było świetną przyszłość, nie należą one bowiem do pierwszorzędnych, z wyjątkiem ukrzyżowania Chrystusa Pana i nadewszystko zbyt mało znanego Samsona i Dalili, znajdującego się w Galeryi Belwederskiéj w Wiedniu, a równającego się doskonałością najprzedniejszym Weneckich artystów arcydziełom.

W portretach Van Dycka w ogólności uderza patrzącego nadzwyczajna swoboda i prawdziwość układu; życiem oddychają jego postacie niewymuszonem, nie będąc pozbawione indywidualnych swych przymiotów. Przypisują niektórzy tę swobodę zmienionym już podówczas znacznie obyczajom otrząśniętym z sztywnéj dworszczyzny, rubaszności i surowości średniowiecznéj. Jest w tém prawda ogólowa, w szczególności zaś dodać tu potrzeba, iż stosunek Van Dycka do otaczających, do tych, których potrzebował, był nadzwyczaj swobodny, że doznając przyjaźni króla Angielskiego, odwiedzany przez niego często, z całym dworem z magnatami czuł się być na równi i był istotnie; książęcy utrzymując dwór w Londynie i nieraz gościnnie i świetnie podejmując tych, z którymi jako artysta w stosunkach zostawać musiał. Zresztą, czego pominąć niepodobna, to przypomnienia jego charakteru osobistego, pełnego szlachetności, prostoty i wytworności w obejściu.

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 7 (19) Августа 1872 г. **Redaktor,** Mieczysław Orgelbrand Mag. Pr. i Adm.

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.